

Błogosławieństwo nic niezmiennające

Pod koniec 2023 roku Watykan wydał dokument, który pozwala na błogosławieństwo par homoseksualnych. Nie wiąże się to jednak z udzieleniem ślubu, choć mogłoby się tak wydawać. Mimo wszystko jest to duży krok w stronę otwartości Kościoła Katolickiego na osoby będące w związkach jedнопłciowych.



Zdjęcie: unsplash.com/fot. Priscilla Du Prez

Amerykanie wybiorą światu przyszłość

Rok 2024 będzie dla znacznej części globu rokiem wyborczym. Nie ulega wątpliwości, że każda zmiana u władzy, nawet w kraju najmniej, będzie niosła za sobą pewną dozę rozsad na ziemskiej szachownicy. Żadna z nich jednak nie będzie obserwowana tak bacznie i przy takim ścisłym kciuków oraz powietrza w płucach, jak elekcja prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki.

4

7

Forum wymiany myśli studentów WNPID



Bezpłatny miesięcznik
Nr 106 | STYCZEŃ 2023

fenestra

Zmiany w TVP. Potrzebne i kontrowersyjne

Grudniowe decyzje ministra kultury, Bartłomieja Sienkiewicza, wzbudziły ogromne emocje po wszystkich stronach polskiej politycznej układanki. Duża część wyborców obecnie rządzącej koalicji zareagowała na zmiany z entuzjazmem. Wreszcie wolne media! Coś jednak poszło nie tak, skoro do sytuacji krytycznie odnoszą się środowiska międzynarodowe, w tym nawet Helsińska Fundacja Praw Człowieka.



Zdjęcie: Wikimedia Commons/fot. Silar

Tym razem to zwolennicy PiS protestują w obronie wolnych mediów...

13 grudnia 2023 roku zaprzysiężony został rząd Donalda Tuska.

Koalicja KO, Polski 2050, PSL-u i Lewicy miała być gwarantem nowej demokratycznej rzeczywistości. Rządzący „uśmiechniętej” Polski szybko zabrali się do pracy. Jednym z priorytetów było doprowadzenie do porządku mediów publicznych. Sprawą zajął się nowy minister kultury i dziedzictwa narodowego, czyli Bartłomiej Sienkiewicz. Zmiany postanowił wprowadzić dzięki uchwale z 19 grudnia 2023 roku. Jak czytamy w oficjalnym komunikacie: przyczyną „rewolucji w TVP” była konieczność „przywrócenia ładu prawnego oraz bezstronności i rzetelności mediów publicznych, oraz PAP”. Jednak sposób wprowadzania zmian wzbudził duże kontrowersje nie tylko w Polsce, ale i za granicą.

Propagandyści bronią wolności słowa

Pierwszą grupą, która wyraziła zdecydowany sprzeciw wobec decyzji Sienkiewicza byli oczywiście pracownicy upolitycznionego za

rządów PiS-u TVP i innych mediów publicznych. W różnych miastach Polski rozgorzały protesty. Osoby, które przez osiem lat dezinformowały obywateli, realizując rządową propagandę, skandowały hasła „Wolne media!” oraz „Demokracja!”. Na manifestacji w Warszawie pojawiły się osoby takie jak Samuel Pereira, Tomasz Sakiewicz czy Michał Adamczyk. Ten ostatni, gwiazda TVP ostatnich lat, z dumą przemawiał przez okno gmachu na placu Powstańców Warszawy. Do wzięcia udziału w protestach zachęcali nie tylko pracownicy mediów, ale i politycy PiS.

– Zaprotestujemy stanowczo przeciwko niedemokratycznym, siłowym działaniom ekipy Donalda Tuska. Spotkajmy się dzisiaj o g. 20.00 przy siedzibie TVP na ul. Woronicza – napisał na platformie X Rafał Bochenek, były rzecznik rządu.

Tak natomiast sytuację komentował Maciej Świrski, przewod-

niczący Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji:

– Wyłączenie sygnału telewizyjnego i stron internetowych TVP. Info jest aktem bezprawia i przypomina najgorsze czasy stanu wojennego.

Jednak walka toczy się nie tylko o TVP. W grudniu ze swoich stanowisk zostali odwołani prezes oraz redaktor naczelny Polskiej Agencji Prasowej, Wojciech Surmacz oraz Cezary Bielakowski.

Stan likwidacji

Jeszcze większe oburzenie wywołał fakt, że gdy Andrzej Duda zawetował ustawę o budżetową i tym samym wstrzymał finansowanie mediów publicznych, Bartłomiej Sienkiewicz zdecydował postawić w stan likwidacji spółki Telewizji Polskiej, Polskiego Radia i Polskiej Agencji Prasowej. Co za tym idzie? W chwili otwarcia likwidacji członkowie zarządu tracą uprawnienia do prowadzenia spraw spółki i jej reprezentacji. Tę funkcję przejmują

likwidatorzy. Zatem bezprzedmiotowy spór toczy się przede wszystkim o to, czy prezesem TVP będzie Tomasz Sygut (wybrany przez nową radę nadzorczą po przejściu TVP) czy Michał Adamczyk (powołany przez zdominowaną przez PiS Radę Mediów Narodowych).

Skomplikowane, jednak jak wskazuje sondaż przeprowadzony na przełomie grudnia i stycznia przez ACE Research dla Onetu, najwięcej respondentów twierdząco odpowiada na pytanie „Czy popierasz metody stosowane przez nową władzę w zakresie przejścia mediów publicznych?”.

Czy to jest legalne?

Choć część społeczeństwa entuzjastycznie odnosi się do zmian w mediach, pojawiają się także wątpliwości. Swoje stanowisko w tej sprawie opublikowała Helsińska Fundacja Praw Człowieka. Podkreśla w nim, że „dotychczasowy sposób funkcjonowania Telewizji Pol-

skiej, Polskiego Radia oraz Polskiej Agencji Prasowej w jaskrawy sposób przeczył temu, czym powinny być media publiczne w demokratycznym państwie prawnym” oraz że „media publiczne wymagają pilnych i gruntownych reform”. Nie zmienia to jednak faktu, że sposób wprowadzania zmian budzi poważne wątpliwości prawne. Fundacja zwraca uwagę na to, że kwestia powoływania i odwoływania składów osobowych organów mediów publicznych regulowana jest obecnie w Ustawie o radiofonii i telewizji oraz Ustawie o Polskiej Agencji Prasowej (zatem podejmowanie w tej sprawie uchwały z punktu widzenia prawa nie ma żadnego znaczenia). Jak napisała na swoim profilu @konstytucjonalista, dr nauk prawnych Kamil Stępiak: „Wszystkie działania, które są możliwe do podjęcia z prawnej strony, mogły być swobodnie podjęte bez tej uchwały”. Wątpliwości z zakresu przestrzegania konstytucji budzi też wybieranie członków zarządu mediów publicznych przez ministra. Ponadto takie postępowanie nie jest zgodne ze standardami Rady Europy.

Działania ministra kultury potępiły też międzynarodowe organizacje dziennikarskie (EFJ i IFJ). Krytykują one powtarzające się ingerencje partii politycznych ze wszystkich stron w zarządzanie publiczną radiofonią i telewizją w Polsce.

Okazuje się więc, że nowy rząd, chcąc „robić porządek” po PiS-ie, tak naprawdę powiela jego błędy. Natomiast próby wprowadzania zmian za pomocą uchwały, bardzo łatwo mogą zostać uznane za dążenie do bezprawia. Pojawia się także ryzyko, że gdy za kilka lat do władzy znów dojdzie PiS lub jakakolwiek inna partia jemu podobna (rząd Tuska nie będzie w końcu rządził wiecznie), będzie mieć w ręku łatwy argument, by znów niszczyć media publiczne.

Karolina SZYGIN

Godny następca **TVP Info**?

Po przejęciu kontroli nad TVP przez nową władzę nagle popularna stała się stacja, o której słyszało wcześniej stosunkowo niewiele. Telewizja Republika działa od ponad dziesięciu lat. To prawicowa stacja informacyjna, która po utracie przez PiS jego głównego medium stała się ważnym narzędziem w rękach dawnej partii rządzącej.

W latach 2015-2023 przedstawiciele Zjednoczonej Prawicy swoje idee przekazywali obywatelom za pośrednictwem mediów publicznych. Nie słyszało się natomiast o stacjach prywatnych, które światopoglądowo zgadzały z byłym obozem rządzącym (może poza Telewizją Trwam). Istniały one po cichu i niewiele się o nich mówiło. Mimo wkładu w inne media prawicowe, PiS stawiał wszystko na jedną kartę, czyli publiczne programy. Alternatywne stacje nie były nawet dostępne nazwem. Nie zbudowano żadnego sensownego konkurenta Telewizji Polskiej, który w przypadku zmiany władzy mógłby przejąć jej dotychczasową funkcję. Dopiero kiedy 20 grudnia nadawanie TVP Info zostało tymczasowo wyłączone, a programy informacyjne w TVP1 zblokowane, TV Republika tak naprawdę wkroczyła na informacyjny rynek. To tam przenieśli się dziennikarze jedynkowych „Wiadomości” i TVP Info. Za nimi ruszyli dotychczasowi widzowie.

Dla widzów dawnego TVP

Ramówka zawiera głównie programy publicystyczno-informacyjne, przeplatane treściami o charakterze religijnym. Nie brakuje znanych z TVP twarzy – przeniósł się tam m.in. Michał Rachoń, wraz ze swoim formatem „#Jedziemy”. Został on także powołany na stanowisko dyrektora generalnego. Natknęliśmy się tam też na znaną z „Wiadomości” Danutę Holecą, prowadzącą serwis informacyjny „Dzisiaj”. Oferowane treści przypominają to, co przez ostatnie 8 lat mogliśmy obserwować podczas oglądania TVP Info. Przekaz jest wyraźnie stronniczy – aby nie zaburzać prezentowanej wizji świata, na ekranie zobaczymy ludzi wyłącznie z jednego, konkretnego środowiska. Wniosek nasuwa się sam – stacji zależy przede wszystkim na przyciągnięciu tych, którzy do niedawna śledzili kanały TVP. Nie pozostawia



Gala z okazji 6 lat TV Republika w 2019 roku

to wątpliwości, że władze Republiki pragną budować swój przekaz na podobnych fundamentach, co wcześniej Telewizja Polska.

Przedstawione informacje przede wszystkim obrażają koalicję rządzącą, na czele z premierem Donaldem Tuskiem. Wynika to z faktu, że praktycznie wszyscy zapraszani goście powiązani są z Prawem i Sprawiedliwością. Gorącym tematem od 20 grudnia są także protesty i manifestacje w obronie TVP. Kontrowersji nie brakuje – powróciły niesławne paski i wypowiedzi szerzące mowę nienawiści. Na tym jednak nie kończy się przekraczanie granic. 31 grudnia na antenie TV

” Kolejną haniebną wpadką stacji jest nagranie z udziałem dziennikarza TV Republiki, Witolda Newelicza. Podczas jednego z protestów w sprawie „wolnych mediów”, dwóch młodych chłopaków w odpowiedzi na pytanie Newelicza skrytykowało „podziały narodu wywołane przez Telewizję Polską”. Niewygodna rozmowa szybko została urwana przez zaskoczonych reporterów. Na innej z manifestacji kamera przypadkowo uchwyciła całujące się kobiety.

Republika pojawiła się haniebna wypowiedź Jana Pietrzaka, który „zażartował”, że miejsce nielegalnych imigrantów jest w byłych obo-

zach koncentracyjnych na terenie Polski. Z powodu licznych skarg sprawą zainteresowała się Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji.



W gali wzięło udział wielu prawicowych polityków

Kolejną haniebną wpadką stacji jest nagranie z udziałem dziennikarza TV Republiki, Witolda Newelicza. Podczas jednego z protestów w sprawie „wolnych mediów”, dwóch młodych chłopaków w odpowiedzi na pytanie Newelicza skrytykowało „podziały narodu wywołane przez Telewizję Polską”. Niewygodna rozmowa szybko została urwana przez zaskoczonych reporterów. Na innej z manifestacji kamera przypadkowo uchwyciła całujące się kobiety. Taki obraz z pewnością nie spodobałby się widzom Republiki. Podjęto więc nieskuteczną próbę zasłonięcia pary za pomocą białoczerwonej flagi.

Bitwa o widzów wygrana

O odbiorców TV Republika aktualnie nie musi się martwić – obecnie stacja zajmuje drugie miejsce pod względem oglądalności wśród stacji informacyjnych (za TVN24). Powiększa swoje zasięgi, obejmując nimi około 60% kraju. Problemy pojawiają się w związku z finansowaniem – tuż po odwiedzeniu strony internetowej, od razu w oczu rzuca się baner zachęcający do wpłat na konto fundacji. Do zrzutki widzów zachęcają hasła o „wspieraniu niezależnych mediów”. Na rzecz TVP Info, wcześniej wykorzystywanego do przekazywania informacji przez PiS, wpływały środki z budżetu państwa – tutaj takich możliwości nie ma. Stawka za reklamę ogromnie wzrosła, ale ktoś musi nadal ją wykupić, a liczba potencjalnych reklamodawców ciągle spada. Przyczyną są niedawne wypowiedzi dotyczące imigrantów – z reklam wycofały się marki takie jak Ikea, Żabka czy mBank. Darowizny od widzów wydają się być w tej sytuacji jedynym wyjściem, aby stacja mogła utrzymać się na polskim rynku.

Nowa telewizja była PiS-owi niezbędna, aby zatrzymać odbiorców sympatyzujących z partią. Choć zostało to przeprowadzone z zaskoczenia i dość chaotycznie, zadanie udało się wykonać. Większość programów TV Republiki jest dedykowana właśnie wyborcom PiS-u. W przeciwieństwie do TVP, póki co stacja ma niewielkie szanse na dotarcie do nowych odbiorców. Szczególnie tych o odmiennych poglądach. Wciąż istnieje bowiem bariera zasięgowa. Reputacja telewizji od samego początku jest chwiejna – przeciwnicy dawnej formy TVP Info nie dają szansy Republice. Nie istnieje zaś żaden inny potencjalny konkurent, który podobnie do tej stacji prezentowałby prawicowe poglądy. Do tego dochodzą liczne afery, które dodatkowo pogrążają ją w brakach kadrowych czy problemach finansowych. Jedno jest pewne – mimo że TV Republika została nowym silnym graczem na rynku polskich mediów informacyjnych, stacja musi mocno postarać się o pozostanie na podium. Najbliższe miesiące przesądzą o jej losie.

Oliwia GARCZYŃSKA

Polska wkroczyła pełną parą w kolejną erę polityczną. Jednym z obszarów, który podlegał intensywnym dyskusjom i w ramach którego, obiecano głębokie reformy, jest edukacja. Rząd naszego kraju wyraził zdecydowane zobowiązanie do poprawy jakości systemu kształcenia, zwiększenia dostępu do nowoczesnych technologii oraz zreformowania programów nauczania.

Nominacja Barbary Nowackiej na stanowisko ministerki edukacji wzbudziła nadzieję na pozytywne zmiany w polskim systemie kształcenia. Jej doświadczenie społeczne, zaangażowanie w walkę o prawa kobiet i postulaty dotyczące równości w dostępie do wiedzy sugerują, że Polska może przejść pozytywną reformę, dzięki której edukacja stanie się bardziej dostępna, nowoczesna i zrównoważona. Jedną z pierwszych znaczących zmian jest rozdzielenie od 1 stycznia 2024 roku Ministerstwa Edukacji i Nauki na dwa odrębne resorty: Ministerstwa Edukacji oraz Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Na czele tego pierwszego pozostaje ministra Nowacka, kierownictwo nad drugim objął minister Dariusz Wiecezorek. Nadzieje są wielkie, a poprzednik zawiesił poprzeczkę niezwykle nisko. Dotąd słynny „krużganek oświaty” niósł Przemysław Czarnek, który zasłynął ograniczeniem edukacji seksualnej, a zamiast tego wprowadzeniem moralizatorskiego podejścia do tego tematu, mową nienawiści wobec społeczności LGBTQ+ oraz brakiem dialogu z nauczycielami. To wszystko wraz z nadejściem nowej władzy ma się zmienić.

Rewolucyjne zmiany

W poprzednich latach nauczyciele w Polsce wielokrotnie podnosili kwestię niskich zarobków, które nie odzwierciedlały ogromu obowiązków i trudu związanego z pracą edukacyjną. Nieadekwatność płac była jednym z głównych czynników decyzyjnych dla wielu absolwentów pedagogiki, którzy zastanawiali się nad wyborem zawodu nauczyciela. Nowy rząd deklaruje chęć zniwelowania tej nierówności. Obietnica podwyżek dla nauczycieli jest postrzegana jako krok w kierunku docenienia roli pedagogów i ich znaczenia dla społeczeństwa. Podwyżki płac mają zachęcać do pracy w tym zawodzie oraz zatrzymać doświadczonych już pracowników w systemie edukacyjnym. Ustawa o budżecie na 2024 rok

Nowa era w polskiej edukacji



Nominacja ministerki spotkała się z entuzjastyczną reakcją wielu wyborców

” W poprzednich latach nauczyciele w Polsce wielokrotnie podnosili kwestię niskich zarobków, które nie odzwierciedlały ogromu obowiązków i trudu związanego z pracą edukacyjną. Nieadekwatność płac była jednym z głównych czynników decyzyjnych dla wielu absolwentów pedagogiki, którzy zastanawiali się nad wyborem zawodu nauczyciela. Nowy rząd deklaruje chęć zniwelowania tej nierówności. Obietnica podwyżek dla nauczycieli jest postrzegana jako krok w kierunku docenienia roli pedagogów i ich znaczenia dla społeczeństwa.

wana pod koniec 2023 roku zakładała 33% podwyżki dla nauczycieli początkujących i 30% podwyżki dla reszty tej grupy już od 1 stycznia 2024. Jednak weto prezy-

denta Dudy, pokrzyżowało plany koalicji. Rząd zapewnia, że zmiana może wejść w życie z opóźnieniem, ale wyrównanie od początku roku z pewnością nastąpi.

Kolejną kwestią do uregulowania jest religia w szkołach. Barbara Nowacka zapowiada redukcję liczby godzin lekcyjnych dla tego przedmiotu z dwóch w tygodniu do jednej. Pojawiają się głosy żądające całkowitej likwidacji tego przedmiotu i powrotu zajęć do niedzielnych szkółek kościelnych. Zwolennicy tej koncepcji argumentują, że Polska staje się coraz bardziej społeczeństwem świeckim, gdzie mniejsza liczba osób identyfikuje się z daną religią. Kolejny aspekt to potrzeba równouprawnienia różnych wyznań i światopoglądów w szkołach. Likwidacja lekcji religii może być traktowana jako krok w kierunku neutralności światopoglądowej w edukacji, co pozwoli uczniom o różnych przekonaniach czuć się jednakowo traktowanymi.



Minister w szkole faworyzował swoją religię

Przed wszystkim wycofanie religii ze szkół pozwoliłoby na spełnienie kryterium neutralności politycznej, ponieważ w Polsce polityka niestety często wiąże się z poglądami religijnymi. Tak było, chociażby w przypadku odwołanej już małopolskiej kuratorki oświaty, Barbary Nowak.

Poza postulatem o redukcji lub likwidacji religii zapowiadana jest zmiana w konstrukcji planów lekcyjnych tak, aby przedmiot odbywał się jako pierwszy lub ostatni w ciągu dnia. Wydaje się to świetnym rozwiązaniem dla nieuczęszczających, którzy nie będą musieli marnować czasu na tzw. okienkach. Kolejną zmianą ma być niewliczanie oceny z tego przedmiotu do średniej, która decyduje o świadectwie z wyróżnieniem.

Posprzątać po Czarnku

Planowane zmiany zakładają także przemodelowanie systemu ocen i egzaminów. Nowa podstawa programowa ma skłaniać do bardziej zindywidualizowanego podejścia do oceniania postępów uczniów, z naciskiem na rozwijanie umiejętności, a nie jedynie zdobywanie wiedzy. Oczekiwania społeczeństwa skupiają się również na rozwiązaniu kontrowersyjnych decyzji Przemysława Czarnka. Podczas pełnienia funkcji ministra edukacji zmienił on spis lektur, dodając więcej religijnych pozycji takich jak kazania Jana Pawła II, ale także ogólnie poszerzając i tak już obszerny katalog. Inną decyzją było wprowadzenie przedmiotu Historia i teraźniejszość, do którego zaproponowano, między innymi, podręcznik autorstwa prof. Wojciecha Roszkowskiego. Na temat tej książki zgodnie wypowiadali się przedstawiciele nawet tak skrajnie różnych poglądowo partii jak Lewica i Konfederacja: „Ten podręcznik do HITu to nie jest podręcznik dla dzieci, tylko książka dla betonowego elektoratu PiS-u” mówił Artur Dziambor w programie „Kawa na ławę” w TVN24. Katarzyna Kotuła zgodziła się z tą opinią słowami: „Ktoś wydał pieniądze na biuletyn partyjny”. W tej chwili nie są znane szczegóły planu zmiany podstawy programowej, ale z pewnością dyskusje na ten temat rozgorzeją zaraz po zatwierdzeniu zmian związanych z podwyżkami i redukcją godzin religii.

Zapowiedź powyższych zmian w polskiej edukacji po utworzeniu nowego rządu 13 grudnia 2023 roku stanowi wyraźny sygnał skoncentrowania się na poprawie jakości systemu edukacyjnego. Czas pokaże, czy te obietnice zostaną zrealizowane, a nowa era w polskiej edukacji przyniesie oczekiwane efekty.

Błogosławieństwo nic niezmieniające

Pod koniec 2023 roku Watykan wydał dokument, który pozwala na błogosławieństwo par homoseksualnych. Nie wiąże się to jednak z udzieleniem ślubu, choć mogłoby się tak wydawać. Mimo wszystko jest to duży krok w stronę otwartości Kościoła Katolickiego na osoby będące w związkach jednopłciowych.

Papież Franciszek niejednokrotnie pokazywał, że Kościół Katolicki próbuje być miejscem otwartym na osoby LGBTQ+. Oczywiście bez zmian w nauce i doktrynie, które jasno wskazują na to, że związek osób tej samej płci to grzech. Jednak w Polsce słowa papieża zawsze budziły kontrowersje. Władze polskiego Kościoła i środowiska z nim związane w szczególności wyrażały zaniepokojenie i oburzenie. Wydaje się, że w przypadku nowego dokumentu wydanego przez Watykan jest podobnie.

Ślubu nie będzie

W wyniku procesu synodalnego Dykasteria Nauki Wiary opublikowała deklarację, która pod określonymi warunkami zezwala na błogosławieństwo parom homoseksualnym. Choć oczywiście o ślubie nie ma mowy. Dokument jasno podkreśla, że według nauki Kościoła małżeństwo to sakramentalny związek kobiety i mężczyzny. Tym samym, Watykan w deklaracji stanowczo przeciwstawia się uznaniu praw małżeńskich dla osób tej samej płci. Samo błogosławieństwo ma się więc odbywać w taki sposób, żeby nie można było go połączyć z sakramentem ślubu.

Gest ten ma więc bardziej charakter symboliczny. Z drugiej strony, dla osób wierzących i będących w związkach jednopłciowych oznacza namiastkę akceptacji we wspólnocie. Pokazuje, że nie są one wyjęte poza ramy Kościoła, którego czują się częścią. Nauka Kościoła jednak się nie zmienia. Współżycie seksualne osób tej samej płci to dalej grzech, a ślub jest przywilejem dla osób heteroseksualnych. Dokument jednak wskazuje, że Kościół stara się w pewnych ramach być bardziej otwarty.

Ostatecznie wyszło to niezbyt dobrze. Deklaracja jest niejasna i pozostawia wiele wątpliwości. Zda się, że władze Kościoła kluczają między stopniową akceptacją a



Papież Franciszek niejednokrotnie mówił o szacunku i miłości wobec osób homoseksualnych

nauką, która jest niezmienna od powstania chrześcijaństwa. Postęp, choć drobny, jest jednak zauważalny. W 2021 roku ta sama dykasteria wydała dokument, który jednoznacznie zakazywał błogosławieństwa par homoseksualnych. Podczas procesu synodalnego natomiast dyskutowano o stworzeniu takiej możliwości. Już wtedy papież Franciszek zaznaczał, że błogosławieństwo takie może stanowić wyłącznie wyrażenie miłości duszpasterskiej wobec osób homoseksualnych.

Drobne kłamstwo Episkopatu

Zdaje się, że władze kościoła w Polsce nie do końca aprobują ideę błogosławieństw zaprezentowanych w deklaracji. Kilka dni po opublikowaniu dokumentu przez Watykan,

„Kilka dni po opublikowaniu dokumentu przez Watykan, rzecznik episkopatu wydał oświadczenie w tej sprawie, którego treść jest co do zasady tożsama z zapisami władz Kościoła. Jest jednak jeden szczegół, który wskazuje, że polskie władze nie akceptują w pełni dokumentu wydanego przez Stolicę Apostolską. Episkopat podkreśla, że błogosławieństwo może przyjąć wyłącznie jedna osoba o skłonnościach homoseksualnych żyjąca w czystości. Nie jest to zgodne z zamysłem papieża Franciszka.

rzecznik episkopatu wydał oświadczenie w tej sprawie, którego treść jest co do zasady tożsama z zapisami władz Kościoła. Jest jednak jeden szczegół, który wskazuje, że polskie władze nie akceptują w pełni dokumentu wydanego przez

Stolicę Apostolską. Episkopat podkreśla, że błogosławieństwo może przyjąć wyłącznie jedna osoba o skłonnościach homoseksualnych żyjąca w czystości. Nie jest to zgodne z zamysłem papieża Franciszka. W dokumencie kilkakrotnie

pada określenie „pary osób tej samej płci”, które jasno wskazuje na osoby będące w związkach jednopłciowych.

O niedomówieniu trudno jest więc mówić. Episkopat raczej celowo wprowadza w błąd. Pytanie tylko dlaczego? Deklaracja ostatecznie nie pozwala przecież na małżeństwa osób tej samej płci, ani nie zrywa z dotychczasową nauką Kościoła. Jest to wyłącznie wyraz akceptacji osób homoseksualnych we wspólnocie wiernych. Jak zaznacza sekretarz Dykasterii Nauki Wiary, błogosławieństwo w przyjętej formule nie usprawiedliwia grzechu ani nie formalizuje związku osób tej samej płci. Władze Kościoła w Polsce ostatecznie nie mają nic do powiedzenia. Papież Franciszek w odpowiedzi na zapytania kardynałów zaznaczył, że księża indywidualnie podejmują decyzję o udzieleniu takiego błogosławieństwa. Biskupi oraz Episkopat nie mogą więc w tym zakresie niczego zakazywać ani nakazywać.

Problematiczny dokument

Sama deklaracja jest przy tym jednak dokumentem problematycznym i niejasnym. Rozróżnia bowiem błogosławieństwa z rytuału (które są liturgiczne) od tych spontanicznych (które przyjmują charakter pobożności ludowej). Błogosławieństwo par homoseksualnych dotyczy drugiej grupy. W komunikacie prasowym sekretarza Dykasterii Nauki Wiary dotyczącym deklaracji możemy przeczytać, że duchowny może więc prosić o zdrowie, pokój i inne dobra dla pary, która prosi o taki sakrament. Zaznacza też, że w takim błogosławieństwie „jednocześnie prosi się, aby żyli Ewangelią Chrystusa w pełnej wierności i aby Duch Święty mógł uwolnić te dwie osoby od wszystkiego, co nie odpowiada Jego Boskiej woli i tego wszystkiego, co wymaga oczyszczenia”.

Nie jest to więc zapowiedź akceptacji małżeństw jednopłciowych, jak ostrzegają środowiska katolickie. Nie jest to też dokument szczególnie zmieniający status par jednopłciowych w Kościele Katolickim, jak oczekiwano tego środowiska LGBTQ+. Ostatecznie osoby żyjące w takich relacjach według religii katolickiej dalej żyją w grzechu. O możliwości ślubu par homoseksualnych nie ma mowy w najbliższym czasie. Kościół Katolicki oferuje na ten moment bowiem tylko modlitwę o nawrócenie i akceptację we wspólnocie osób, które nie są heteroseksualne. Widząc jednak zachodzące powoli zmiany, jest nadzieja na to, że w przyszłości w pełni otworzy się on na osoby LGBTQ+.



Dokument wydany przez Watykan jest wyrazem włączenia par homoseksualnych do wspólnoty Kościoła

Między demokracją a autorytaryzmem

Od 2012 roku, gdy Serbska Partia Postępowa (SNS) na czele z Aleksandrem Vučićem przejęła władzę w Serbii, ten bałkański kraj stopniowo przesuwa się w dół wszelkich rankingów demokracji. Choć to państwo już od 10 lat jest kandydatem do Unii Europejskiej, ostatnie wydarzenia powodują, że coraz bardziej oddala się od celu. Balans między Zachodem a Wschodem obiera w Serbii jak na razie ten drugi kierunek.



Rządzący SNS zwyciężył we wszystkich 66 regionach, nawet w stolicy kraju, Belgradzie, gdzie opozycja miała realną szansę na odzyskanie władzy. Ostatecznie SNS triumfowała tam stosunkiem 39:34.

W ramach misji obserwacyjnej OBWE w Europie mającej na celu zbadanie poprawnego przeprowadzenia wyborów, przygotowany został wstępny raport dotyczący elekcji. Możemy w nim przeczytać o licznych nieprawidłowościach w dniu głosowania. Mowa tutaj o wywieraniu presji na pracownikach sektora publicznego, czy też przekazywanie medialnym przychylnym władzy. Zwrócono także uwagę na liczne błędy proceduralne: niekonsekwentne działanie przy liczeniu głosów, brak weryfikacji tożsamości w lokalach wyborczych lub zwożenie zwolenników partii rządzącej z krajów ościennych do odpowiednich lokali wyborczych. Wybory obserwowała także lokalna organizacja CRTA, która stwierdziła, iż powyższe nieprawidłowości mogły zaważyć na wyniku wyborów.

„Dostaliśmy sygnał z Rosji”

Tuż po wyborach w całej Serbii, zwłaszcza w Belgradzie, wybuchły wielotysięczne demonstracje sprzeciwiające się metodom przyjętym podczas przeprowadzania elekcji. Opozycja domagała się powtórzenia wyborów, a dwóch jej działaczy rozpoczęło strajk głodowy. Doszło do starć z policją, w których rannych zostało 30 policjantów. Demonstrujący próbowali wdrzeć się do ratusza, użyto gazu łzawiącego. Premierka Serbii, Ana Brnabić, cytowana przez portal Ukraińska Prawda, mówiła, że to rosyjskie służby przekazały informacje serbskim o możliwych incydentach wyborczych.

– Mieliśmy informacje od służb, które nas przed tym ostrzegały. Przede wszystkim informacje zostały nam przekazane przez rosyjskie służby specjalne, ale [przedstawiciele krajów zachodnich – przyp. red.] oskarżyli nas o szerzenie bzdur i dezinformacji – wypowiedziała się Brnabić. Dalej oskarżała opozycję o brutalną próbę destabilizacji państwa. Te wypowiedzi na pewno ochłodzią relacje z UE i mogą popchnąć w stronę balansu relacji Serbii Wschód-Zachód w tę pierwszą stronę.

Wszystko wskazuje na to, że kontynuowana będzie serbska populistyczna polityka SNS. Relacje z UE będą polegały na uzyskaniu jak największych korzyści przy jak najmniejszych stratach, mocno romanując przy tym z krajami o ograniczonej demokracji – Węgrami, Rosją, czy Chinami. Jeśli ten kurs się utrzyma, dołączenie Serbii do UE, będzie stopniowo się oddalać.

Filip STACHOWICZ

Ostatnie wybory w grudniu 2023 roku były już czwartymi w ciągu 10 lat, które odbyły się przed planowanym terminem. Celem ekipy obecnego prezydenta Vučića znów było umocnienie się na pozycji hegemonu serbskiej sceny politycznej. Choć półtora roku wcześniej Vučić w cuglach zapewnił sobie drugą kadencję w Novim Dvorze, to już jego partia względem wyborów z 2020 roku straciła kilkadziesiąt miejsc w Zgromadzeniu Narodowym.

Wybory w cieniu protestów

Przedterminową elekcję zaplanowano na 17 grudnia 2023 roku wraz z wyborami samorządowymi w 66 miastach i regionach. Do tego czasu Serbią targwały liczne protesty wobec ówczesnej władzy. V-Dem Institute zajmujący się badaniem jakości demokracji w poszczególnych krajach ocenił Serbię jako autokrację wyborczą. Negatywnie w stosunku do polityki serbskiego rządu odnosił się też Freedom House:

–Władze w Serbii podkopały prawa polityczne i wolności obywatelskie, wywarły presję na niezależne media, opozycję i organizacje społeczeństwa obywatelskiego – czytamy na ich stronie internetowej. W stabilizacji sytuacji w kraju na pewno nie pomagał również zaogniający się konflikt na granicy z Kosowem. W mijającym roku doszło do kilku incydentów w strefie przygranicznej. W maju wojska serbskie zostały postawione w stan gotowości po nielegalnym zdaniem Serbów wyborach samorządowych w Kosowie. We wrześniu na granicy doszło do strzelaniny, w której życie straciło kilku kosowskich policjantów. Przygotowanie do elekcji były więc napięte. Głównym rywalem SNS w nadchodzących wyborach

„Tuż po wyborach w całej Serbii, zwłaszcza w Belgradzie wybuchły wielotysięczne demonstracje sprzeciwiające się metodom przyjętym podczas przeprowadzania elekcji. Opozycja domagała się powtórzenia wyborów, a dwóch jej działaczy rozpoczęło strajk głodowy. Doszło do starć z policją, w których rannych zostało 30 policjantów.

była proeuropejska Koalicja Przeciwno Przemocy zawiązana po tragicznych majowych wydarzeniach w jednej z belgradzkich szkół, kiedy 13-letni uczeń zabił 10 osób. Doszło wtedy do powiększenia się konfliktu politycznego, kiedy to ówczesny minister edukacji, Brancko Ružić, w swoim oświadczeniu stwierdził, że „winę za te wydarzenia ponoszą internet, gry kompute-

rowe i wszystkie inne tzw. zachodnie wartości”.

Bolesna porażka

Zgodnie z sondażami partia urzędującego prezydenta mogła liczyć od 38% do 45%. Im bliżej wyborów jednak, tym notowania SNS pogarszały się, a protesty nasilały. Mimo wszystko sytuacja dla rządzącego ugrupowania wydawała się bez-

Rządy SNS w Serbii trwają już przeszło 12 lat

pieczna z racji tego, że zawsze mogła liczyć na wsparcie koalicji byłego premiera Serbii, Ivicy Dačića, w której skład wchodziła Socjalistyczna Partia Serbii, Zjednoczona Serbia oraz Zieloni. Ostatecznie wynik Serbskiej Partii Postępowej przerósł najśmielsze oczekiwania. Populiści uzyskali aż 48% poparcia, co przełożyło się na 128 mandatów, czyli o 8 więcej niż po wyborach w 2022 roku. Na drugim miejscu znalazła się opozycyjna koalicja Serbia Przeciwno Przemocy z 24% wynikiem (65 mandatów). Współrządzący SPS zanotował niecałe 7% poparcia (18 mandatów), co pomimo niezłego wyniku opozycji skonsolidowało władzę dotychczasowych rządzących. Szczególnie bolesne dla opozycji okazały się wyniki wyborów lokalnych.



To były czwarte w ciągu 10 lat przedterminowe wybory parlamentarne w Serbii

Kryzys dyplomatyczny u progu **Karaibów**

Regionem Ameryki Południowej i Karaibów wstrząsnął pod koniec roku kryzys dyplomatyczny między Wenezuelą a Gujaną. Wenezuela, rządzona autorytarnie przez Nicolasa Maduro, uznała na początku grudnia 2/3 powierzchni Gujany za część swojego terytorium. Gujana odrzuciła roszczenia sąsiada. USA i Wielka Brytania otwarcie poparły Gujanę. Jakie są korzenie tego sporu? Czy może dojść do wojny? Jaką rolę w tym kryzysie odgrywa sytuacja wewnętrzna Wenezueli i sukces gospodarczy Gujany?



Zdjęcie satelitarne ukazujące region Essequibo w Gujanie

Zapowiedziane 23 października i przeprowadzone 3 grudnia referendum konsultacyjne w Wenezueli zaostroiły trwający od dziesięcioleci spor terytorialny między tym państwem a Gujaną. Reżim Nicolasa Maduro zwrócił się do Wenezuelczyków z pięcioma pytaniami referendalnymi, w których zapytano głosujących o poparcie dla stanowiska rządu Wenezueli odnośnie do sporu z Gujaną oraz o zgodę na stworzenie na spornym obszarze kolejnego stanu wchodzącego w skład Wenezueli. Według oficjalnych danych podanych przez rząd przy frekwencji wynoszącej 51,01% uprawnionych na każde pytanie „Tak” odpowiedziało ponad 96% głosujących.

Gujana uważa referendum za zagrożenie dla swojej suwerenności i integralności terytorialnej. W październiku wenezuelska armia zaczęła rozbudowę infrastruktury drogowej w pobliżu granicy z Gujaną. Irfaan Ali, prezydent Gujany, zapewnił rodaków, że nie ustąpi sąsiadowi. W trakcie listopadowej kampanii referendalnej w Wenezueli władze Gujany zwróciły się między innymi do Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości z prośbą o zabronienie Wenezueli przeprowadzenia referendum. 1 grudnia MTS zakazał Wenezueli naruszania status quo w relacjach z Gujaną, jednak nie odniósł się do kwestii samego referendum.

Korzenie wenezuelsko-gujańskiego sporu

Sporne terytorium noszące nazwę Essequibo jest kością niezgody od wieków. W czasach hiszpańskiego

imperium kolonialnego Hiszpania uznawała ten porośnięty dżunglą, słabo zaludniony teren za integralną część Wenezueli, która wówczas była częścią imperium. Jednak kontrola Hiszpanii na tym obszarze była czysto iluzoryczna. W XVII wieku Essequibo kolonizowali Holendrzy, a w XVIII wieku również Brytyjczycy. Ci ostatni w 1796 roku ostatecznie podporządkowali sobie Essequibo i rozpoczęli zakrojoną na szeroką skalę uprawę trzciny cukrowej.

Wenezuela, która uzyskała niepodległość w wyniku rozpadu Imperium Hiszpańskiego w Amerykach, nie miała zamiaru uznać brytyjskiej władzy w Essequibo. Wenezuela i Wielka Brytania pozostawały w sporze terytorialnym do końca XIX wieku, gdy w wyniku międzynarodowego arbitrażu w Paryżu w 1899 roku prawie 90% spornego terytorium zostało przyznane Wielkiej Brytanii. Wenezuela była reprezentowana w trakcie arbitrażu przez USA, ponieważ w 1887 roku zerwała stosunki dwustronne z Wielką Brytanią. Z tego powodu wśród wielu Wenezuelczyków zrodziło się przeświadczenie, że rozstrzygnięcie było efektem zmywu Amerykanów i Brytyjczyków. Mimo to kolejne wenezuelskie rządy uznawały wynik arbitrażu aż do lat 60. XX wieku.

W 1962 roku Wenezuela zmieniła swoje dotychczasowe stanowisko i uznała brytyjskie rządy w Essequibo za bezprawne, powołując się na memorandum Severo Mallet-Prevosta, reprezentującego w 1899 roku stronę Wenezueli w trakcie arbitrażu. Zarzucał on trzem z pięciu członków trybunału arbitrażowego znową na szkodę Wenezueli. W lutym 1966 roku

Przez ostatnie lata Gujana bardzo dynamicznie się rozwijała. Wydobywanie ropy naftowej i reformy gospodarcze ułatwiające zagraniczne inwestycje sprawiły, że gospodarka Gujany stała się jedną z najszybciej rosnących. Według danych Banku Światowego w 2022 roku Gujana osiągnęła zawrotne 63,4% wzrostu PKB. W tym samym czasie Wenezuela popadła w kryzys.

Wenezuela i Wielka Brytania zawarły Porozumienie Genewskie. W ramach tego porozumienia obydwie strony zgodziły się uznać granicę z 1899 roku za prawnie obowiązującą do czasu osiągnięcia ostatecznej umowy. Jeszcze w tym samym roku do porozumienia przystąpiła Gujana, która uzyskała niepodległość od Wielkiej Brytanii 26 maja 1966 roku, stając się jednocześnie stroną sporu terytorialnego z Wenezuelą.

Do 1970 roku Wenezuela prowadziła agresywną politykę wobec słabszej Gujany, tworząc posterunki wojskowe na spornym pograniczu. W 1970 roku zawarto 12-letnie moratorium na wenezuelskie roszczenia terytorialne wobec Essequibo. W 1982 roku nie zostało ono przedłużone, jednak Wenezuela nie podejmowała już wrogich działań w stosunku do Gujany.

Po przejściu w 1999 roku władzy w Wenezueli przez Hugo Chaveza i rozpoczęciu tzw. Rewolucji Boliwariańskiej (nazwano ją tak na cześć Simona Bolívara, bohatera walk o niepodległość w Ameryce Południowej przeciw Hiszpanii) stosunki dwustronne uległy dalszej poprawie. Chavez w trakcie wizyty w Georgetown, stolicy Gujany, w 2004 roku stwierdził, że spór między

obydwoma krajami dobiegł końca.

Przeciwnie trajektorie

Konflikt Wenezueli i Gujany zagościł się w 2013 roku, gdy załoga statku poszukującego ropy naftowej u wybrzeży gujańskiego Essequibo została aresztowana przez flotę Wenezueli. W następnym roku Gujana przyznała koncesję na poszukiwanie i wydobywanie ropy naftowej amerykańskiej firmie ExxonMobil, która przed rewolucją boliwariańską w Wenezueli posiadała wielkie inwestycje w tamtejszym sektorze naftowym, stając się jednym z wrogów władz Wenezueli. Rządzący Wenezuelą od śmierci Chaveza w 2013 roku Nicolas Maduro zaostroił stopniowo swoją retorykę wobec Gujany, która w 2018 roku wystąpiła do MTS z prośbą o stwierdzenie ważności wyniku arbitrażu z 1899 roku.

Przez ostatnie lata Gujana bardzo dynamicznie się rozwijała. Wydobywanie ropy naftowej i reformy gospodarcze ułatwiające zagraniczne inwestycje sprawiły, że gospodarka Gujany stała się jedną z najszybciej rosnących. Według danych Banku Światowego w 2022 roku Gujana osiągnęła zawrotne 63,4% wzrostu PKB.

W tym samym czasie Wenezuela popadła w kryzys. Nicolas Maduro zwalczal opozycję wobec swoich rządów, np. fałszując wybory prezydenckie w 2018 roku. Państwa zachodnie ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki na czele reagowały na te działania reżimu, nakładając sankcje gospodarcze. Sankcje połączone ze złym zarządzaniem wenezuelską gospodarką doprowadziły do załamania gospodarczego w Wenezueli i emigracji milionów Wenezuelczyków.

Groźba wojny

Od ogłoszenia wyników wenezuelskiego referendum napięcie w regionie jest bardzo wysokie. Gujana zaczęła wzmacniać swoje siły wojskowe w Essequibo i zwróciła się do USA oraz Wielkiej Brytanii z prośbą o pomoc. W tym samym czasie sąsiadująca z Wenezuelą i Gujaną od południa Brazylia wzmocniła swoje posterunki graniczne w pobliżu Essequibo, a jej władze ostrzegły przed groźbą wybuchu wojny w Ameryce Południowej.

14 grudnia prezydenci Maduro i Ali spotkali się na terytorium Saint Vincent i Grenadyn. Nie udało im się rozwiązać sporu, jednak we wspólnej deklaracji po szczycie wyrzekli się zbrojnych środków rozstrzygnięcia konfliktu. Mimo to napięcie nie opadło. 24 grudnia Wielka Brytania ogłosiła skierowanie okrętu HMS Trent na wody terytorialne Gujany w geście poparcia dla integralności terytorialnej Gujany. Maduro zareagował na to zarządzeniem 28 grudnia ćwiczeń wenezuelskiej armii w pobliżu międzynarodowo uznawanej granicy z Gujaną.

Obecnie nic nie zapowiada deeskalacji konfliktu. W Wenezueli odbędą się w drugiej połowie 2024 roku wybory prezydenckie. Ich uczciwe i równe przeprowadzenie jest sformułowanym przez USA warunkiem zniesienia sankcji nałożonych na Wenezuelę. Niezależnie od tego, czy Maduro ostatecznie zrealizuje żądania USA czy też nie, kryzys w relacjach z Gujaną jest dla niego korzystny. W uczciwej kampanii wyborczej może prezentować się wyborcom jako przywódca twardo broniący wenezuelskiego interesu, w przeciwieństwie do opozycji. Natomiast gdyby Maduro zdecydował się na zaostwienie relacji z Zachodem, to mógłby zaprezentować swoich wewnętrznych przeciwników jako ludzi spiskujących z Gujaną w celu wywołania wojny.

Tylko czas pokaże, jak zakończy się spór między Wenezuelą a Gujaną. Jednak w coraz bardziej niestabilnym świecie jest to kolejny groźny punkt zapalny.

Oskar KMAK

Amerykanie wybiorą światu przyszłość

Rok 2024 będzie dla znacznej części globu rokiem wyborczym. Nie ulega wątpliwości, że każda zmiana u władzy, nawet w kraju najmniej, będzie niosła za sobą pewną dozę rozsad na ziemskiej szachownicy. Żadna z nich jednak nie będzie obserwowana tak bacznie i przy takim ścisłym kciuków oraz powietrza w płucach, jak elekcja prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki.

O miejsce w fotelu za biurkiem gabinetu owalnego obecna głowa państwa – Joseph R. Biden jr. – powalczy najprawdopodobniej z poprzednim zwierzchnikiem sił zbrojnych USA – Donaldem J. Trumpem (mimo ciążyących na nim zarzutów). Dla obydwu panów będzie to już druga próba przedłużenia swojego lokatorstwa w Białym Domu, czyli walka o reelekcję. Rywalizacja ta będzie bardzo wyrównana, gdyż obecne wyniki sondaży mówią o równomiernym poparciu, z odchyleniem góra o cztery punkty procentowe przewagi. Ostatecznie najważniejszą zmienną może okazać się poziom poparcia w tzw. swinging states, czyli stanach, w których obywatele przy żadnych dotychczasowych wyborach nie opowiedzieli się w sposób ewidentny po którejś ze stron republikańsko-demokratycznej przepychanki politycznej.

Najmniej zdecydowani

Głównymi wiecznie nieodokreślonymi ośrodkami wyborczymi najistotniejszej federacji planety są stany: Nevada, Arizona, Wisconsin i Georgia. Te cztery podmioty administracyjne zamieszkuje łącznie ponad 27 milionów Amerykanów, co przekłada się na aż 8,2% całej populacji terytorium pod jurysdykcją Waszyngtonu. Żeby uzmysłować sobie mikroskopijną skalę różnicy pomiędzy wynikami uzyskiwanymi w tych regionach przez dwie największe partie supermocarstwa zachodniego kręgu kulturowego, warto wrócić do poprzednich wyborów. Podczas ostatniej kampanii Joe Biden wygrał w sześciu najbardziej rozedrganych politycznie stanach, ciesząc się w nich łączną przewagą rządu zaledwie 44 tys. głosów, co biorąc pod uwagę liczbę wyborców, stanowi jedynie ułamek ułamka ułamka ułamka potencjalnych możliwości.



Biały Dom - siedziba prezydenta USA

„Rządzący w tej chwili prezydent natomiast oceniany jest przez współpracowników dalece bardziej krytycznie. W styczniu minionego roku za ubieganiem się o ciągłość zajmowania przez niego stanowiska głowy państwa było tylko 46% osób z jego macierzystej partii. Rezultaty powtórzonego badania tym bardziej nie napawają jego zwolenników optymizmem.

Swoje skrzydła rozwija za to w pełni największy rywal Bidena sprzed czterech lat. Biznesmen z wyboru i krezus z urodzenia, Donald Trump. Wszystkie znaki na niebie i ziemi zdają się aktualnie przemawiać za jego ponowną kan-

dydaturą z ramienia partii republikańskiej. Jeśli wierzyć analizom, w prawyborach będzie mógł liczyć na poparcie nawet 61% przedstawicieli swojego stronnictwa, kiedy w tym samym czasie, najpoważniejszy pretendent do zastąpienia go w

uzyskaniu tej zaszczytnej nominacji, gubernator Florydy – Ron DeSantis dysponuje mniej więcej dwunastoma procentami głosów przedstawicieli tegoż ugrupowania.

Rządzący w tej chwili prezydent natomiast oceniany jest przez współpracowników dalece bardziej krytycznie. W styczniu minionego roku za ubieganiem się o ciągłość zajmowania przez niego stanowiska głowy państwa było tylko 46% osób z jego macierzystej partii. Rezultaty powtórzonego badania tym bardziej nie napawają jego zwolenników optymizmem. W listopadzie 2023 roku jego wyniki sięgnęły już tylko 40%. Sytuacja ta to pierwszy taki

przypadek od 1980 roku – wtedy to inni członkowie bloku demokratycznego byli w zdecydowanej mniejszości za reelekcją Jimmiego Cartera.

Trump czarnym koniem wyścigu?

Kiedy zestawimy zatem dane dotyczące obydwu indywiduów, możemy dojść do wniosku, że kilkukrotny bankrut (Trump) w istocie wyprzedza byłego wiceprezenta Baracka Obamę (Biden) już w przedbiegach. Według badania wykonanego na zlecenie telewizji CNN, dawny biznesmen, zajmujący się głównie budownictwem hotelowym, dysponuje 49% poparcia, w stosunku do 45% dzierżonych przez niegdysiejszego senatora ze stanu Delaware – Joe Bidena. Stwierdzenie jednak, że ze stuprocentową pewnością sprawy potoczą się po myśli byłego prezydenta, włożyć można między bajki. Należy mieć bowiem wzgląd na kształt amerykańskiego systemu wyborczego, a co za tym idzie, wziąć pod uwagę czynnik kolegium elektorskiego, które to podejmuje ostateczną decyzję w sprawie prezydentury. Musi ono uwzględnić głos obywateli, jednak niekoniecznie całkowicie za nim podążać. Było tak już kilkakrotnie (m.in. przy elekcji właśnie Donalda Trumpa w 2016 roku).

Obydwaj kandydaci mają swoich zwolenników, ale nawet wśród nich słychać głosy krytyki. Jeżeli idzie o aktualnie sprawującego służbę narodowi, ankietowane osoby jako obawy odnośnie do potencjalnych, kolejnych czterech lat jego rządów wskazywały: słuszny wiek prezydenta (skończy on w tym roku 82 lata, a już teraz jest najstarszą głową waszyngtońskiej ojczyzny w historii i jednym z najstarszych reprezentantów władzy wykonawczej na świecie w ogóle), a także stopień jego świadomości lub nawet ewentualnego zaangażowania w nielegalny proceder jego syna. Co tyczy się za to autora parafrazy „Make America great again!”, również liczba przeżytych wiosen jest mu wytykana, lecz poza tym obywateli martwią przede wszystkim ciężące na nim zarzuty, jak i dokonany za jego aprobatą, albo przynajmniej brakiem sprzeciwu, gwałt na demokracji w samym jej sercu, czyli marsz na Kapitol z początku 2021 roku.

Przewidywania odnośnie do tego kogo, dlaczego, czy jaką większością wyznaczą nasi przyjaciele zza oceanu są zatem niczym więcej niż wróżeniem z fusów. W prawo, w lewo, prosto, każdy z wariantów będzie niosł za sobą kolosalne konsekwencje, które jako ludzkość poznamy w nie aż tak odległej przyszłości. Jedno jest pewne, zbliża się wielkimi krokami bardzo ekscytujący wyścig. Proponuję więc zapląć pasy i trzymać się mocno. Gotowi? Do startu? Wybory!



Amerykańskie flagi – symbol demokracji

Mateusz WASIELEWSKI

Najbardziej propalestyńskie państwo Europy

Premier Hiszpanii zapowiedział, że będzie pracował na rzecz uznania państwa palestyńskiego i przyznał, że ma wątpliwości, co do tego czy Izrael wypełnia międzynarodowe prawo humanitarne. Wicepremierka publicznie stwierdziła, że Izrael popełnia zbrodnie wojenne, a tysiące mieszkańców Hiszpanii wychodzi na ulice i skanduje „To nie jest wojna, to ludobójstwo”. Czy to wszystko sprawia, że Hiszpanię można nazwać najbardziej propalestyńskim państwem w Europie?

Od października w wielu europejskich państwach można obserwować wybuchające z różnym natężeniem manifestacje propalestyńskie, które w swoim szczytowym momencie osiągnęły wielotysięczną frekwencję. Manifestacje te są odzwierciedleniem głosu wsparcia płynącego ze strony społeczeństwa europejskiego, które udzielane jest niezależnie od stanowiska zajmowanego przez rządy poszczególnych państw. Zdać się może, że szczególnie w państwach zachodu napięcie związane z wojną oraz kryzysem humanitarnym jest coraz większe, a co za tym idzie, wzmagają się również żądania społeczeństwa wobec rządów państw, aby zajęły one konkretne stanowiska.

Głos sojuszników sprawy palestyńskiej

Jednym z państw, w którym oczekiwania części społeczeństwa spotkały się z aprobatą rządzących jest Hiszpania, której premier Pedro Sánchez w jednym ze swoich pierwszych przemówień zapowiedział, że jego gabinet będzie pracował na rzecz uznania państwa palestyńskiego. Po tej deklaracji Sánchez oraz belgijski premier Alexander De Croo, jako reprezentanci „podwójnej prezydencji w UE”, wspólnie udali się do Izraela, aby m.in. wezwać premiera Netanjahu do podjęcia negocjacji pokojowych, szanowania międzynarodowego prawa humanitarne oraz deeskalacji konfliktu. W trakcie tej wizyty premierzy spotkali się także z prezydentem Autonomii Palestyńskiej Mahmudem Abbasem.

Na temat Palestyny premier Sánchez wypowiadał się także poza swoją wizytą na Bliskim Wscho-



Rząd Pedro Sáncheza będzie pracował na rzecz uznania państwa palestyńskiego

dzie. Udzielił on głośnego wywiadu hiszpańskiej telewizji TVE, którego konsekwencją stało się tymczasowe wycofanie się z Hiszpanii izraelskiej ambasadorki Rodiki Radian-Gordon. W wywiadzie hiszpański premier powiedział, że ma wątpliwości co do tego, czy Izrael stosuje się do międzynarodowego prawa humanitarne. Wśród innych propalestyńskich głosów, płynących z hiszpańskiej sceny politycznej bardzo głośne i zdecydowane są słowa dwóch członkiń poprzedniego rządu Sáncheza. Ione Belarra i Irene Montero wezwały do postawienia premiera Izraela przed Międzynarodowym Trybunałem Karnym za zbrodnie na ludności palestyńskiej.

W kwestii sprawy palestyńskiej stanowisko hiszpańskiego rządu jest jasne. A jak reagują na to mieszkańcy Hiszpanii? Zdaje się, że również są bardzo przychylni i w większości bliżej im do podejścia rządu niż jego przeciwników. W największych miastach nieustannie od października mają miejsce demonstracje propalestyńskie, gromadzące wiele tysięcy uczestników.

Oprócz tego Belarra zarzucała innym europejskim liderom to, że nie są wystarczająco skuteczni w swoich działaniach. Także wicepremierka i przewodnicząca koalicyjnej partii Sumar Yolanda Diaz potępiła działanie Izraela, twierdząc, że Izrael popełnia zbrodnie wojenne, i

wzywając do natychmiastowego zawieszenia broni w Strefie Gazy.

Historyczne zaszczości

Warto zadać sobie pytanie, jaki jest powód takiej postawy hiszpańskiego premiera. Jedni mówią, że to strategiczny ruch mający odwrócić

uwagę opinii publicznej od polityki wewnętrznej, w tym od sprawy amnestii. Inni jednak twierdzą, że wynika to z historycznej przychylności Hiszpanii w stosunku do sprawy palestyńskiej, a że sam Sánchez ma nadzieję, iż jego stanowisko wywoła „efekt domina” w pozostałych państwach UE. Pojawiają się także głosy, że premier po prostu zajmuje stanowisko, które aprobuje większość jego wyborców.

Historycznie Hiszpania praktycznie zawsze była blisko z państwami arabskimi, a hiszpańska opinia publiczna od lat sympatyzuje z Palestyńczykami. Relacje dyplomatyczne z Izraelem Hiszpania nawiązała dopiero w 1986 roku., czyli aż 38 lat po tym, jak Izrael proklamował swoją niepodległość. Było to m.in. wynikiem dyktatorskich rządów generała Franco, chociaż nawet 10 lat po nich, za czasów transformacji oraz rządów demokratycznych, relacje te wciąż były nienawiązane.

Mimo braku pewności co do przyczyn takiego stanowiska Hiszpanii pewnym jest, że nie jest to jedynie wynik ideologicznej przynależności koalicji rządowej. Pedro Sánchez wywodzi się z lewicowego ugrupowania, a jego rząd składa się z partii lewicowych, jednak propalestyńskie akty poparcia miały w Hiszpanii miejsce nie tylko za rządów lewicowców. Przykładem tego może być rok 2014, kiedy premierem był Mariano Rajoy Brey z prawicowo-konserwatywnej Partii Ludowej. Wówczas hiszpański parlament przyjął rezolucję wzywającą do uznania państwa palestyńskiego.

Reakcje mieszkańców Hiszpanii

W kwestii sprawy palestyńskiej stanowisko hiszpańskiego rządu jest jasne. A jak reagują na to mieszkańcy Hiszpanii? Zdaje się, że również są bardzo przychylni i w większości bliżej im do podejścia rządu niż jego przeciwników. W największych miastach nieustannie od października mają miejsce demonstracje propalestyńskie, gromadzące wiele tysięcy uczestników, jak chociażby 29 października w Madrycie, gdzie w proteście uczestniczyło blisko 35 tysięcy osób, które wspólnie skandowały hasła takie jak „To nie jest wojna, to ludobójstwo” czy „Nie dla barbarzyństwa. Nie dla wojny. Zawieszenie broni.”. Ludzie gromadzili i gromadzą się nie tylko w stolicy, manifestacje odbywają się także w innych miastach, m.in. w Barcelonie (największa: 20 tys. osób), Guernice (8 grudnia – ok. 3 tys. osób), Walencji, Bilbao czy Granadzie. Ponadto wsparcie dla Palestyny publicznie okazywane było i jest przez wiele znanych osobistości ze świata kultury, sportu i przez innych celebrytów.



Mieszkańcy Hiszpanii tysiącami gromadzą się na propalestyńskich manifestacjach i nawołują do zawieszenia broni

Marianna CZMOCHOWSKA

Upadek i odrodzenie **Slowdive**

Rok 2024 zapowiada się obiecująco. Oprócz gwiazd corocznych festiwalu nasz kraj mają w planach odwiedzić między innymi: Metallica, Depeche Mode i The Smashing Pumpkins. A 27 stycznia do warszawskiej Progresji zawita Slowdive. Zespół wraca do Polski po zeszłorocznym występie na Off Festival. Jak przystało na jedną z największych ikon shoegaze'u, ikonę, której dzisiejszy status niegdyś mogła zwiastować jakoś ich muzyki, nadchodzący koncert szybko został wyprzedany.



Slowdive obecnie grają koncerty na jakie w latach 90. nie mogli liczyć

Choć dzisiaj Slowdive wymieniany jest wśród najważniejszych zespołów lat 90., grupa zakończyła działalność w 1995 roku. z powodu zdecydowanej krytyki prasy muzycznej i niewielkiego zainteresowania publiczności. Gitarzysta formacji Christian Savill w rozmowie z Red Bullem wspominał: – w Anglii dziennikarze muzyczni mocno kreowali gusta. Cokolwiek powie „NME” lub „Melody Maker” – powinieneś tego słuchać. Jeśli twierdzili, że: »Slowdive są gówniani, nie słuchajcie ich więcej«, dzieciaki przestawały przychodzić na nasze koncerty”. Z początku nic tego nie zapowiadało – pierwsze EPki zostały dobrze przyjęte, a zespół trafił do wytwórni Creation, po tym jak z grupą skontaktował się jeden z jej założycieli, Alan McGee. Wydawało się, że muzyków czeka udana kariera – oferowali słuchaczom muzykę, która, choć wywoływała wyraźne skojarzenia z poszczególnymi wykonawcami, stanowiła ich własną wersję shoegaze'u. Prezentowali bardzo dobry poziom artystyczny, dzięki czemu zaczęli wydawać płyty dla wytwórni, która współpracowała z istotnymi wówczas zespołami (między innymi Primal Scream i My Bloody Valentine), a w przyszłości miała także odnieść szczególny sukces za sprawą Oasis. Jednak już od premiery długogrającego debiutu, Slowdive mierzyli się z chłodnymi opiniami.

Slowdive powstało w 1989 roku. w Reading. Kluczowymi postaciami byli, zaprzyjaźnieni od dzieciństwa i już wcześniej wspólnie muzykujący, Neil Halstead i Rachel Goswell, zajmujący się wokalami i gitarami. Byli młodymi ludźmi; w

Formacja była ważną częścią rodzącej się sceny shoegaze'owej. Nazwa gatunku pochodzi od dziennikarzy komentujących sceniczną prezencję muzyków, którzy mieli wpatrywać się w ziemię. Nie chodziło oczywiście o przypatrywanie się obuwiu, tylko o zestawy efektów, potrzebnych do uzyskania wyjątkowego, przetworzonego brzmienia i stworzenia ścian dźwięku.

chwili założenia Slowdive Halstead miał 19 lat, a Goswell dopiero 18. Reszta zespołu składała się z ich rówieśników. Sekcję rytmiczną stworzyli: basista Nick Chaplin i perkusista Adrian Sell, do składu dołączył wkrótce także trzeci gitarzysta Christian Savill. Zdaniem Halsteda, to po dołączeniu tego ostatniego, zainspirowanego Kevinem Shieldsem z My Bloody Valentine, zespół zaczął w większym stopniu wykorzystywać efekty i eksperymentować z brzmieniem. Gdy Sell zrezygnował z działalności w zespole na rzecz studiów, stanowisko perkusisty objął Simon Scott z formacji The Charlottes. Pierwszy materiał zarejestrowany przez zespół to trzy Epki – „Slowdive”, „Morningrise” i „Holding Our Breath”, które można znaleźć na niektórych wznowieniach debiutanckiego longplaya grupy z 1991 roku: „Just For a Day” oraz w streamingu.

Gapienie się na buty

Formacja była ważną częścią rodzącej się sceny shoegaze'owej. Nazwa gatunku pochodzi od dziennikarzy komentujących sceniczną prezencję muzyków, którzy mieli wpatrywać się w ziemię. Nie cho-

dziło oczywiście o przypatrywanie się obuwiu, tylko o zestawy efektów, potrzebnych do uzyskania wyjątkowego, przetworzonego brzmienia i stworzenia ścian dźwięku. Eksperymenty sonorystyczne to kluczowa cecha shoegaze'u. Wyznacznikiem stały się także dream popowe melodie, czerpiące przede wszystkim z Cocteau Twins. Podwalin szukać można także u The Velvet Underground, Hüsker Dü, post-punka, noise rocka Sonic Youth, Dinosaur Jr. czy The Jesus and Mary Chain. Zespołem, który faktycznie ukuł z tych inspiracji zupełnie nowy styl był My Bloody Valentine, którego album „Loveless” dość zgodnie uważany jest za największe osiągnięcie nurtu. Slowdive inspirowało się zespołem Kevinina Shieldsa; w melodii i nastroju słyszalne są także wpływy Cocteau Twins. Jedną z największych różnic między Slowdive a My Bloody Valentine jest to, że tak jak grupa Shieldsa często budowała ściany dźwięku brzmiące agresywnie i hałaśliwie, uzyskując kontrast pomiędzy dream popowymi melodiami, a noise'owymi gitarami, tak kwintet z Reading preferował rozmyte brzmienia i naleciałości am-

bientu, harmonijnie łącząc warstwę wokalną i instrumentalną. Bliższy dokonaniom pionierów shoegaze'u był najwcześniejszy autorski materiał zespołu, który mimo wyraźnej inspiracji prezentował indywidualny styl Slowdive, rozwijany już na debiutanckim „Just For a Day” i przede wszystkim następnym w dyskografii „Souvlaki”.

Przełom, który nie nadszedł

Gdyby „Souvlaki” w chwili premiery spotkało się z takim odbiorem, z jakim spotyka się dziś, mogłoby być dla zespołu momentem przełomowym. Niestety płyta uznawana za jedno z najważniejszych dzieł shoegaze'u i całej muzyki lat 90., przyjęta została tak jak jej poprzednik – chłodno. Sprzedawała się gorzej niż debiut, mimo że muzycznie prezentowała większą dojrzałość oraz wyższy poziom niż, także udany, „Just For a Day”. Album to przepełniona emocjami muzyczna wizytówka Slowdive, cechująca się shoegaze'owym brzmieniem, dream popowymi melodiami i eterycznym nastrojem. Styl grupy jest na tyle charakterystyczny, że całość brzmi niezwykle spójnie, a jednak zespół pozwolił sobie na pewną różnorodność – wystarczy spojrzeć na rozpoczynające album „Alison”, zdradzające wpływy muzyki elektronicznej, psychodeliczne „Souvlaki Space Station” i odchodzący od ścian dźwięku „Dagger”. W dwóch utworach – „Sing” i „Here She Comes” udzielił się Brian Eno, którego muzycy prosili o zostanie producentem płyty. Ten odmówił wyprodukowania „Souvlaki”, jednak zagrał we wspomnianych kompozycjach, będąc także

współautorem pierwszej z nich. Na każdej z wymienionych płaszczyzn – brzmieniowej, melodycznej, nastrojowej, emocjonalnej i kompozycyjnej „Souvlaki” zaprezentowało wysoki poziom, pomimo że wewnątrz grupy miało wówczas miejsce rozstanie Halsteda i Goswell. Wokalista i gitarzysta niektóre piosenki napisał podczas pobytu w Walii, gdzie wybrał się na około dwa tygodnie za sugestią managera zespołu.

Rozpad i powrót

Po „Souvlaki” wydana została Epka „5 EP” (dołączana na reedycjach do drugiego albumu), pokazująca inspiracje muzyką elektroniczną. Kolejnym zaskoczeniem okazała się następna płyta, przynosząca zmiany nie tylko na stanowisku perkusisty (Scotta zastąpił Ian McCutcheon). „Pygmalion” to album odbiegający od wypracowanego stylu grupy, silnie czerpiący z post-rocka i ambient popu. Być może to jego odmiennosc sprawiła, że także dziś jest on nieco niedoceniany. Chociaż opinie na jego temat są pochlebne, wyraźnie znajduje się on w cieniu „Souvlaki”, mimo że nie ustępuje najśłynniejszemu dziełu grupy, a jego dodatkowym atutem jest podjęcie kroku naprzód i niezwykle udana wolta stylistyczna. Niestety płyta okazała się ostatnim wydawnictwem zespołu, który niedługo później się rozpadł. Członkowie składu nie porzucili jednak muzyki – Halstead, Goswell i McCutcheon założyli zespół Mojave 3, Savill Monster Movie. Nic nie zapowiadało się na to, aby powrócili kiedykolwiek pod szyldem Slowdive. Sytuację zmienił rozwój internetu, który ułatwił odkrywanie niedocenionych i zapomnianych zespołów sprzed lat. Goswell w wywiadzie dla „Interii” wspominała moment, w którym zauważyła zmianę w postrzeganiu shoegaze'u za sprawą portalu Myspace, gdy jeden z amerykańskich zespołów napisał, że jego gatunkiem jest shoegaze. „Bardzo mnie to zaskoczyło. To właśnie wtedy uświadomiłam sobie, że stał się czymś więcej i znaczy dla ludzi naprawdę dużo”. Jednak nawet gdy zespół zdecydował się na powrót w 2014 roku (za bębniami zasiadł Simon Scott) nadal nie wydawał się przekonany co do swojej faktycznej popularności. Tymczasem okazało się, że grupa, która wspomina, jak na jednym z jej koncertów wśród niezbyt licznej publiczności znalazła się kobieta zmywająca podłogę, obecnie wyprzedaje swoje koncerty i występuje na światowych festiwalach. W 2017 roku ukazała się płyta „Slowdive”, a weszłym roku „Everything Is Alive”.

Aleksander GRĘDA

Miłość i śmierć.

Zbrodnia Candy Montgomery



Zdjęcie: Materiały prasowe HBO

Candy Montgomery, zaraz po odebraniu życia Betty Gore.

Nazwisko Candy Montgomery, gospodyni domowej z Teksasu stało się równie sławne, co Aileen Wuornos, pierwszej kobiety skazanej na karę śmierci. Informacja o brutalnym morderstwie, które dokonała na swojej sąsiadce obiegła cały świat, szczególnie ze względu na to, że Candy, mimo popełnionej zbrodni została oczyszczona z zarzutów. Niejednoznaczne dowody i niekonwencjonalny proces sądowy sprawiły że sprawa Candy wciąż budzi zainteresowanie, którego konsekwencją jest wyprodukowany w 2023 roku miniserial „Miłość i śmierć”.

Miaścisko Wylie w stanie Teksas. Spokojna okolica. Wspaniałe miejsce do wychowywania dzieci. Przyjaźni sąsiedzi, którzy zawsze się z sobą witają. Społeczność zaangażowana w życie religijne. Nieśkalany obraz Wylie został jednak zachwiany w piątek 13-go 1980 roku, kiedy doszło do brutalnego zabójstwa Betty Gore. Została zamordowana we własnym domu, gdzie zadano jej 41 ciosów siekierą. Co skłoniło przyjaciółkę Betty do dokonania tego czynu? Czy wersja wydarzeń jaką przedstawiła Candy Montgomery była prawdą? Niestety, nigdy się tego nie dowiemy, bo jedyna osoba, która mogłaby podważyć jej wersję nie żyje. Jednakże twórcy miniserialu

stacji HBO „Miłość i śmierć” spróbowali zrekonstruować wydarzenia, pokazując życie Candy przed, w trakcie i po dokonaniu morderstwa.

Czy to jest przyjaźń, czy to jest kochanie?

Candy Montgomery była zaangażowana w życie społeczne, udzielała się w kościele i należała do chóru. Mieszkała w dużym domu wraz z mężem i dwójką dzieci. Była gospodynią domową, której czegoś jednak brakowało. Podczas meczu siatkówki poczuła pociąg erotyczny do Allana, męża swojej przyjaciółki, Betty. Nie owijając w bawełnę zapytała się go wprost: „Czy jesteś zainteresowany romanssem?”, na co mężczyzna po pewnym czasie przystał. Obydwoje, rozczarowani swoimi

małżeństwami zaczęli planować schadzki i podeszli do tego sumiennie. Opracowali listę za i przeciw, jak również zasad, które muszą przestrzegać, aby nikt się nie dowiedział o ich relacji, a co ważniejsze, żeby nikomu nie stała się krzywda. Obiecali sobie, że jeśli któreś z nich zacznie angażować się emocjonalnie albo po prostu uzna, że chce zakończyć romans, druga strona na to przystanie. Skrupulatnie ułożyli plan działania, wybrali obskurny pokój hotelowy, aby urozmaicić swoje spotkania. Ich romans przypominał cringową historię z bajki, Candy zabierała ze sobą koszyk pełen przysmaków, robiła ulubione ciasteczka Alana i spędzali czas na rozmowie oraz seksie. Początkowa chęć uniesień erotycznych została przysłonięta zasłoną rozwijającej

się przyjaźni. Po kilku miesiącach Candy zauroczyła się w mężczyźnie, natomiast Allan zaczął mieć wyrzuty sumienia. Ostatecznie ich romans się zakończył i wrócili do bycia przyjaciółmi.

Twórcy miniserialu „Miłość i śmierć” bardzo sumiennie trzymali się faktów, znanych z wywiadów świadków na sali sądowej, i dogłębnie przeanalizowali wypowiedzi Candy i Allana. Prowadzili linearną narrację, pokazując życie związanych ze sprawą, tworząc charakterystyczne postacie. Serial wspomina o morderstwie wyłącznie na początku pierwszego epizodu, a przez kolejne odcinki obrazuje relacje między bohaterami, tworzy ich charaktery, a przede wszystkim pokazuje jak dziwny był romans Allana z Candy. Osoby, które nie znały faktów, mogły od-

” W wywiadach Candy opowiadała jak wyglądały ich spotkania, w czasie których sporządzali w zeszycie listę zasad, aby ich romans nie ujrzał światła dziennego. Historia ta budzi wręcz niesmak, ponieważ Candy przyznała się, że w przerwach od spotkań z Allanem, przyjaźń między nią a Betty się zacieśniła. Urządziła dla niej babyshower, zajmowała się ich dziećmi, a nawet spotykała się z nimi wraz z mężem na podwójne randki.

czuć niezręczność, kiedy bohaterowie ze sobą rozmawiają, samo bezpośrednie pytanie Candy „Czy jesteś zainteresowany romanssem” budzi po prostu śmiech i sprawia wrażenie, jakoby miał stanowić satyrę na niewierność w małżeństwie. Jednakże, to co oglądaliśmy na ekranie jest przeniesione prosto z życia głównych bohaterów. W wywiadach Candy opowiadała jak wyglądały ich spotkania, w czasie których sporządzali w zeszycie listę zasad, aby ich romans nie ujrzał światła dziennego. Historia ta budzi wręcz niesmak, ponieważ Candy przyznała się, że w przerwach od spotkań z Allanem, przyjaźń między nią a Betty się zacieśniła. Urządziła dla niej babyshower, zajmowała się ich dziećmi, a nawet spotykała się z nimi wraz z mężem na podwójne randki. Mimo tego, twórcy serialu zadbał, aby portretować postacie, w taki sposób, aby z nimi sympatyzować. Co więcej w czasie spotkań, na chwile można zapomnieć, że Candy i Allan zdradzają swoich partnerów, przez obrazowanie ich relacji w bardzo romantyczny sposób.

Zadziało to do tego stopnia, że widz aż ma nadzieję na to, że bohaterowie się rozwiodą ze swoimi partnerami i spędzą przyszłość u swego boku, już nie ukrywając się za fasadą kłamstwa i niewierności.

41 uderzeń

W piątek 13-go 1980 roku życie obu rodzin na zawsze się zmieniło. Kiedy Candy przyjechała do domu Gorów, aby odebrać strój kąpielowy ich córki, Betty zapytała się czy ma romans z Allanem. Ta odparła, że kiedyś miała, ale to było dawno temu. Po tych słowach Betty poszła do składzika i wyjęła z niego siekierę, grożąc, że jeśli jeszcze raz zobaczy Montgomery, to ją zabije i odłożyła narzędzie. Kiedy Candy wychodziła podeszła do przyjaciółki i próbowała ją szczerze przeprosić. Gdy dotknęła jej ramienia, Betty wpadła w furję, chwyciła za siekierę i uderzyła Candy, najpierw w głowę, a później w stopę. Następnie narzędzie wypadło jej z rąk, a Montgomery w przypływie adrenaliny podniosła je i uderzyła agresorkę w głowę. Candy wtedy spanikowała i zaczęła uciekać, lecz nie zadała Betty na tyle mocnych obrażeń, że ta wstała i ruszyła za nią w pościg. Kiedy ją dogoniła, przyłożyła palec do ust i powiedziała szeptem „Ciii”, co uruchomiło dawne, traumatyczne wspomnienie z życia Candy, przez które Montgomery straciła nad sobą panowanie.

” Odpowiedzialny za scenariusz David E. Kelley wykonał niesamowitą pracę, ponieważ po kolei odhacza fakty i przenosi je na ekran. Zadbął o najmniejsze detale, aby oddać każdy szczegół, by przybliżyć widzom horror, który wydarzył się w domu Gorów. Sekwencja, w której Betty i Candy walczą na śmierć i życie, została zainscenizowana od początku do końca tak, jak zeznawała Montgomery w sądzie.

Chwyła za siekiere i zadała Betty 41 uderzeń. Po odebraniu życia przyjaciółce, Candy wzięła prysznic w domu Gorów, zabrała strój kąpielowy i poszła z dziećmi na basen. Tego samego dnia zadzwonił do niej Allan, który był wówczas w delegacji i pytał czy widziała się z Betty, bo ta nie odbiera telefonu. Candy powiedziała, że była u nich w domu i nie ma się czym martwić. Allanowi nie dało to jednak spokoju, więc poprosił swoich trzech znajomych, aby weszli do jego posiadłości i sprawdzili, czy z Betty wszystko w porządku. Kiedy mężczyźni weszli do środka znaleźli ciało. Twarz Betty była tak zmasakrowana, że w pierwszej chwili myśleli, że została postrzelona. Później znaleziono zakrwawioną siekiere i wyszło na jaw, że Candy ostatnia widziała ofiarę i został postawiony jej zarzut morderstwa.

Odpowiedzialny za scenariusz David E. Kelley wykonał niesamowitą pracę, ponieważ po kolei odhacza fakty i przenosi je na ekran. Zadbął o najmniejsze detale, aby oddać każdy szczegół, by przybliżyć widzom horror, który wydarzył się w domu Gorów. Sekwencja, w której Betty i Candy walczą na śmierć i życie, została zainscenizowana od początku do końca tak, jak zeznawała Montgomery w sądzie. Sama scena, wsparta dynamicznym montażem i trzymającą w napięciu muzyką już przyprawia o ciarki na plecach, a kiedy ogląda się ją ze świadomością, że w pełni oparta jest na wspomnieniach świadka tych wydarzeń, to bardziej wrażliwego widza, może nawet doprowadzić do mdłości.

Uniewinniona

Sprawa Candy bardzo szybko wypłynęła do mediów, a lokalne społeczeństwo, jak i jej mąż stało za nią murem. Oskarżona nie

przyznawała się do zbrodni i zapierała się, że niczego z dnia morderstwa nie pamięta. Specjaliści uznali wówczas, że najlepszym sposobem będzie poddanie Candy hipnozie, aby odblokować wspomnienia z 13 czerwca. Ta niekonwencjonalna metoda przyniosła pozytywny rezultat, ponieważ Montgomery potrafiła dokładnie opisać wydarzenia z domu Gorów. Jako, że oskarżona nie była świadoma tego co zrobiła, jej adwokat przyjął stanowisko, aby przekonać ławę przysięgłych, że działała w samoobronie. Prokuratura nie dawała jednak za wygraną, drwiąc z faktu, że niewinne “Ciii” było w stanie doprowadzić Candy do szału, a dodatkowo adrenalina nie tłumaczy tego, że Betty została uderzona ponad czterdzieści razy siekiere. Po zaciętym procesie, ława przysięgłych uniewinniła Candy. Rodzina Montgomery niedługo później opuściła Teksas i zaczęła nowe życie w Georgii.

Sprawa Candy do dziś budzi kontrowersje, ze względu na niekonwencjonalnie prowadzony proces, fakt, że miała romans z mężem zmarłej i jeszcze to, iż tuż po wizycie w domu Gorów, potrafiła udać się z dziećmi na basen, jakby nic się nie stało. W 1984 roku powstała książka autorstwa Johna Blooma i Jima Atkinsona, w oparciu o zabójstwo Betty, zatytułowana „Evidence of Love: A True Story of Passion and Death in the Suburbs” a w 2022 roku miniseria „Candy: Śmierć w Teksasie”. Zafascynowani zbrodnią badacze znaleźli nawet dziwne powiązania: zabójstwo miało miejsce w piątek 13-go, tego samego dnia, w wielu krajach premierę miał slasher „Piątek trzynastego”, dom państwa Gorów był trzynastym z kolei na ulicy, Candy została aresztowana 13 dni po śmierci Betty, a na miejscu zbrodni, na stole leżała gazeta otwarta na stro-

nie z plakatem filmu „Lśnienie”, nawiązując do narzędzia zbrodni.

Produkcja „Miłość i śmierć” czerpie garściami z dostępnych informacji, składa je i tworzy imponującą całość. Jednakże serial można odebrać negatywnie ze względu na gloryfikowanie postaci samej Candy. Zaangażowanie fenomenalnej Elizabeth Olsen (nominowanej za tę rolę do Złotego Globu, w kategorii „najlepsza aktorka w serialu limitowanym, serialu antologii lub filmie telewizyjnym”) w główną postać jeszcze mocniej ułatwia sympatyzowanie z Montgomery. Jej naturalna gra aktorska, charyzma i szczerzy uśmiech przysłania amoralne zachowanie bohaterki. Zamiast widzieć

kobietę, która odebrała komuś życie widz dostrzega kogoś, kto po prostu chciał czegoś więcej od życia. Elizabeth dopuszcza nas do wewnętrznego świata Candy, pozwala nam zajrzeć w jej duszę”. Natomiast zupełnie inaczej została sportretowana postać Betty Gore, która z przesłuchań na sali sądowej oraz z wywiadów lokalnej społeczności wydawała się zamkniętą w sobie introwertyczką, a nie patrzącą z pogardą na innych agresorką. Odtwórczyni tej roli, Lily Rabe dzielnie wypełniała tło produkcji, wiarygodnie kreując swoją bohaterkę. Tylko problem polega na tym, że Betty trudno było po prostu polubić. Denatka była antypatyczna, bezczelna i nieszanująca

swojego męża nauczycielką, o której w serialu wiele złego do powiedzenia mieli jej znajomi.

Twórcy serialu przy pomocy świetnie skomponowanej ścieżki dźwiękowej oraz dopracowanych kostiumów i scenografii stworzyli produkcję będącą esencją lat 80-tych. Emocjonująca sprawa morderstwa, barwne postacie oraz fantastyczna kreacja aktorska Elizabeth Olsen, której kariery nie powinno się nigdy uciszać, tworzy imponującą całość. Pozostaje mieć już tylko nadzieję, że tak dobre seriale o morderstwach będą powstawać przez wyobraźnię scenarzystów, a nie w oparciu o prawdziwe wydarzenia.

Szymon FILIPIAK



Zdjęcie rodzinne Gore'ów.

” Sprawa Candy bardzo szybko wypłynęła do mediów, a lokalne społeczeństwo, jak i jej mąż stało za nią murem. Oskarżona nie przyznawała się do zbrodni i zapierała się, że niczego z dnia morderstwa nie pamięta. Specjaliści uznali wówczas, że najlepszym sposobem będzie poddanie Candy hipnozie, aby odblokować wspomnienia z 13 czerwca. czerwca. Ta niekonwencjonalna metoda przyniosła pozytywny rezultat, ponieważ Montgomery potrafiła dokładnie opisać wydarzenia z domu Gorów.

Walka z monstrami na przysiady

Nadszedł szczególnie czas realizacji postanowień noworocznych. Dla niektórych, potrzebujących impulsu do zmian, to moment zastrzymania się i zastanowienia nad poprawą swojego życia. Dla innych – no cóż, moment corocznych rozczarowań. Podczas post-noworocznego przeglądu Instagrama, jak co roku, zostałem zasypany zdjęciami nieznanymi ludzi radośnie leczących kaca podczas obowiązkowej sesji zdjęciowej na siłowni. Zacząłem się zastanawiać – jaką grę włączyć, żeby zmniejszyć moje wewnętrzne poczucie winy?

Wiem, że gry powszechnie nie kojarzą się raczej z aktywnością fizyczną czy wyciskaniem siódmych potów. I choć pierwsze gry ruchowe (czyli jak nazwa wskazuje, takie, w których trzeba się ruszać) były do niedawna jedynie formą drogiej, elektronicznej ciekawostki, to ich popularyzacja pozwoliła twórcom na coraz to odważniejsze eksperymentowanie w zakresie technologii łączącej przyjemne z męczącym. Pionierskie w tej dynamicznie rozwijającej się gałęzi branży gier było zdecydowanie Wii Sports, które oprócz bycia całkiem skutecznym narzędziem zmuszającym rodziców do spędzania czasu z ich pociechami, zachęcało również dzieciaki do aktywności fizycznej w zaciszu własnego mieszkania. Każdy posiadacz konsoli Wii U miał okazję zapoznać się z produkcją, gdyż kopia gry była dodawana za darmo przy zakupie urządzenia, co niewątpliwie wpłynęło na jej obecny status kulturowości. Wii Sports zadebiutowało w 2006 roku i choć od premiery minęło parę ładnych lat, to gry ruchowe dalej cieszą się sporą popularnością.

Mamy rok 2024, a gry ruchowe wciąż mnie zaskakują. Będąc małym brzdącem nigdy nie przyszło mi do głowy, że będę mógł walczyć z przeciwnikiem w grze za pomocą... przysiadów, brzusków czy innych, zbyt trudnych dla mnie ćwiczeń. I nie chodzi mi tu o metaforycznego, wewnętrznego wroga, który ma mnie powstrzymać przed kolejną serią pompek. Tylko takie-



Ring Fit pozwala nam, dosłownie, mieć zabójcze uda

go, wiecie, złego potworka w grze. Kiedy pierwszy raz usłyszałem o Ring Fit Adventure, nie mogłem uwierzyć w to, że ktoś (a raczej coś) w końcu zmusi mnie do zbyt długich treningów po wymagającym dniu w pracy. To niecodzienne połączenie gatunku RPG z grą fitness zachwyciło mnie na tyle, że po paru latach od zakupu produkcji wciąż jestem w stanie cieszyć się tymi samymi, w kółko powtarzanymi poziomami. Ale od początku.

Ring Fit Adventure to spadkobierca poprzednich gier fitness, które wyszły spod skrzydeł Nintendo. Fabuła produkcji jest raczej umowna, dużo tu oklepanych, sztamowych motywów, które mają stano-

„Po moim pierwszym spotkaniu z grą, no cóż, musiałem odstawić ją na parę następnych dni ze względu na nieprzewidziane komplikacje. Nie byłem przyzwyczajony do tego, że gry rzeczywiście potrafią dać wycisk porównywalny do tego z siłowni.

wic jedynie tło dla sedna produkcji. W skrócie – naszym zadaniem jest uratowanie świata przed złymi (choć wciąż wyjątkowo uroczymi) stworkami, które pod wodzą nikczemnego smoka nękają mieszkańców fantastycznego świata. Prawdziwa zabawa tkwi jednak w tym, jak przyjdzie nam zmierzyć się z armią potworów. Do kopii gry dołączono akcesoria na kontrolery – opaskę na nogę śledzącą nasze

ruchy oraz specjalną obręcz, która niedługo stanie się narzędziem tortur dla naszych nieprzyjaciół, jak i dla nas samych. Magiczną krainę świata Ring Fit przemierzamy na własnych nogach właśnie za sprawą opaski, która mniej lub bardziej precyzyjnie będzie odwzorowywać nasze manewry podczas wykonywania ćwiczeń. Po mapie przemieszczamy się biegając w miejscu, co chwila trafiając na po-



Więksi przeciwnicy to zdecydowanie więcej ćwiczeń

mniejsze przeszkody czy sporadycznych adwersarzy. Walka, jak już wcześniej wspominałem, będzie polegać na ćwiczeniach, do których (w większości przypadków) wymagane jest użycie obręczy oporowej.

Po moim pierwszym spotkaniu z grą, no cóż, musiałem odstawić ją na parę następnych dni ze względu na nieprzewidziane komplikacje. Nie byłem przyzwyczajony do tego, że gry rzeczywiście potrafią dać wycisk porównywalny do tego z siłowni. Moje dotychczasowe spotkania z grami typu Just Dance czy Beat Saber nie kończyły się nieznośnymi zakwasami na następny dzień. Dlatego, jakże rozsądnie z mojej strony, ignorowałem wszelkie ostrzeżenia ze strony gry, że może pora już skończyć na dziś z ćwiczeniami. Bo tak, Ring Fit Adventure co chwila ostrzega nas i informuje o zagrożeniach wynikających z nadmiernego przetrenowania. Ba, w grze dostępna jest nawet opcja mierzenia pulsu, która powie nam czy wszystko jest tak, jak być powinno.

Ring Fit nie wymusza na nas przesadnego wysiłku, pozwala nam obrać własne tempo, które nie tylko ma nam pomóc w komfortowym wykonywaniu ćwiczeń, ale także w samym czerpaniu przyjemności z gry. Nawet „turowy” tryb walki, na który zdecydowali się twórcy, pomaga nam w treningu we własnym, ustalonym przez siebie zakresie. Ring Fit bez pośpiechu tłumaczy nam sposób wykonywania danego ćwiczenia i reaguje w razie błędnej pozycji podczas rozgrywki. Jeżeli ćwiczenia okażą się zbyt wymagające, gra zareaguje również w tym przypadku i zaproponuje nam obniżenie poziomu trudności. Ring Fit Adventure nie zwiększy też poziomu trudności bez naszej zgody – jeżeli nie czujemy się jeszcze na siłach, możemy po prostu ćwiczyć tak, jak nam wygodnie. To, co urzeka w tej produkcji to sposób, w jaki gra traktuje gracza.

Ring Fit nauczył mnie czerpania radości z wykonywania najprostszych, najbardziej żmudnych i dotychczas kojarzących się ze szkolną salą gimnastyczną ćwiczeń. Menu gry pyta mnie częściej o moje samopoczucie niż którykolwiek nauczyciel WF-u. No właśnie, bo Ring Fit to najlepszy nauczyciel i trener, jakiego kiedykolwiek poznałem. Takiej przyjemności czerpania ze sportu nie nauczył mnie żaden specjalista, który za czasów mojej młodości powinien rozpalić we mnie miłość do aktywności fizycznej. Dlatego, w ramach postanowienia noworocznego, gorąco zachęcam do wypróbowania nieco bardziej rozrywkowych alternatyw dla tych, którzy jak ja, mieli kiedyś problem z pokochaniem sportu.

Piotr RYDZ

Serial, który zaczął sięgać dna

Amerykańskie zbrodnie, przerażający szpital psychiatryczny, nastoletnie czarownice czy cyrk dziwadła – to wszystko, a nawet więcej znajdziecie w serialu „American Horror Story”, który rozkochał w sobie publiczność na całym świecie. Niebanalne historie, charakterystyczne postacie, manewrowanie między kiczem, satyrą a kempem oraz wpadająca w ucho muzyka, razem tworzyły zgrabną całość. Twórcom produkcji nie brakowało pomysłów. Dlaczego więc ostatnie sezony serialu sięgnęły dna, do tego stopnia, że niżej upaść



Jessica Lange jako Siostra Jude Martin tworzy jedną z najwybitniejszych kreacji aktorskich w historii telewizji.

„Rok 2021 był zwiastunem błyskawicznego staczenia się antologii. Dziesiąty sezon serialu, „Podwójny seans” początkowo budził nadzieję na jedną z lepszych odsłon serii.

zupełnie inny wymiar, gdyż był skierowany do młodszej widowni. „Sabat” opowiadał o szkole czarownic, w której pierwsze skrzypce grały nastoletnie wiedźmy. Mimo że serial nie dostarczał już poczucia wszechobecnego zagrożenia, to nadal był solidnie zrealizowanym dramatem z elementami satanistycznymi, kultem voodoo czy powrotami zza grobu. I tak oto, w przeciągu kilku lat, serial zahaczał o różne

konwencje filmowe. Czerpał z ludowych legend, eksperymentował z formą i mimo że, po kilku seriach można było zauważyć powracające schematy, to za sprawą przemyślanej narracji, trudno było przerwać oglądanie.

Rok 2021 był zwiastunem błyskawicznego staczenia się antologii. Dziesiąty sezon serialu, „Podwójny seans” początkowo budził nadzieję na jedną z lepszych odsłon serii.

Wątek cierpiącego na brak weny pisarza, który zrobi wszystko, aby napisać coś spektakularnego (nawet zacznie zażywać pigułki zmieniające go w kreaturę podobną do wampira) był interesującym pomysłem na rozwój akcji. Dodatkowo, warstwa wizualna potrafiła wywołać na ciele ciarki, za sprawą ograniczonego oświetlenia, wiarygodnej charakterystyki oraz nastrojowej ścieżki dźwiękowej. Niestety, kiedy widz zdążył już całkowicie zanurzyć się w opowieść, ta niespodziewanie dobiegła końca. Twórcy, postanowili zamiast jednej historii opowiedzieć dwie – o wampirach oraz kosmitach. Miałyby to sens,

gdyby druga część „Podwójnego seansu” dopełniała jakkolwiek pierwszą. Tak się jednak nie stało, a co gorsza historia o istotach pozaziemskich nie miała w sobie żadnego ładunku emocjonalnego i za mocno zahaczała o kicz. Dziesiąta odsłona serii przyniosła widzom gorzki smak rozczarowania – wątek wampirów i kosmitów to szalenie interesujące materiały źródłowe, które osobno mogłyby przecież nadać serialowi powiewu świeżości.

Po niesatysfakcjonującym „Podwójnym seansie” przyszedł jeszcze gorszy „NYC”, który, mimo słabej jakości, poruszał ważny temat epidemii AIDS. Horror, jaki przeżyła społeczność LGBTQ+ do dziś budzi smutek, więc dobrze, że twórcy mieli chęć unaocznienia współczesnej widowni realiów tamtych mrocznych czasów. Niestety, tylko na chęciach się skończyło, ponieważ nieangażująca narracja, płaskie postacie i scenariusz, który przypomina ser szwajcarski w skuteczny sposób odciągają widownię od ekranu. Przeobrażenie choroby w ludzką formę, która morduje bohaterów było niecodziennym zjawiskiem, za co warto pochwalić twórców, lecz w tej metaforycznej postaci jest więcej życia, niż w protagonistach. Aktorzy nie mieli pola do popisu, gdyż ich jednowymiarowi bohaterowie byli uwiecznieni w szponach fatalnie napisanego scenariusza. Twórcy jedenastego sezonu nie mieli na niego pomysłu, nie wiedzieli, czy wolą iść w stronę dramatycznej opowieści z homoseksualnymi postaciami w centrum czy kryminału z seryjnym mordercą w roli głównej. W konsekwencji trudno powiedzieć coś pozytywnego o tej odsłonie.

Przysłowiowym gwoździem do trumny serialu był kolejny sezon – „Oczekiwanie”, który został przerwany po pięciu odcinkach w wyniku strajku scenarzystów i aktorów. To, że nie otrzymaliśmy całości można zrozumieć, ale obsadzenie żenującej w swojej roli Kim

Kardashian – już nie. Czy ktoś tęskni za pozostałymi odcinkami produkcji? Dialogami przypominającymi wycinki z Tik-Toka? Historią wypełnioną powierzchownymi wątkami czy formą, która nieudolnie próbuje nadać serii feministycznego wydźwięku? Tytuł w tym momencie zawodzi, ponieważ raczej mało kto faktycznie oczekuje trzynastego sezonu.

Najnowsze odsłony „American Horror Story” zaczęły przeobrażać się w nieapetyczną serię, w której brakuje atmosfery dławiącej grozy czy angażujących emocjonalnie historii. Sam fakt, że fenomenalni aktorzy przestali występować w nowych odsłonach, sygnalizuje, że nawet oni nie są zainteresowani serialem.

American Horror Story” to interesująca antologia, której każdy sezon opowiada zupełnie inną historię z różnymi bohaterami, ale z powracającymi aktorami, kreującymi nowe postacie. O serialu zrobiło się szczególnie głośno po emisji „Asylum”, bijącej rekordy oglądalności drugiej części antologii, w której twórcom ewidentnie udało się osiągnąć estetykę grozy, odwołując się do klasycznych motywów horrorów z lat osiemdziesiątych. Showrunnerzy ze starannością kreśliли bogate portrety psychologiczne, odsłaniali ich lęki i budowali, tym samym nić porozumienia między postacią a widzem. Każdy człowiek wie przecież, co to, znaczy się bać i jest świadom, że lęku doznaje tym silniej, im słabiej rozpoznaje się jego źródło. To właśnie w związku z tą niewiedzą nie potrafi sobie z nim poradzić. Takie stanowiło celowo przyjęli twórcy serialu, w którym widz nie posiada na temat akcji większej wiedzy od bohaterów. Pozwala to na lepsze utożsamienie się z postaciami i wspólne poszukiwanie rozwiązania niewygodnej sytuacji. A jeśli doda się do tego fakt, że najlepszy sezon serii osadzony jest w szpitalu dla psychicznie chorych, to od razu przerażenie wzrasta podwójnie – przecież podobnych pacjentów z „Asylum” możemy spotkać we współczesnych czasach na oddziałach zamkniętych.

Druga seria produkcji wyróżniała się psychologicznym podejściem do postaci a największą grozą stanowił w nim wewnętrzny rozłam bohaterów. Trzeci sezon miał natomiast



Pierwsze sezony American Horror Story spotkały się z ciepłym przyjęciem widzów

Mag, cukiernik, wynalazca: **Wonka**

U schyłku 2023 roku przed widzami pojawiła się okazja do spotkania kultowej postaci Roalda Dahla w kolejnej już interpretacji filmowej. W reżyserii Paula Kinga, z nową obsadą i świeżymi przygodami „Wonka” okazał się nie małą sensacją jeszcze na długo przed premierą. Zastąpienie?

W nowej odsłonie losów Willy’ego Wonki dostajemy coś, czego nigdy dotąd nie widzieliśmy, a o czym ewentualnie padały drobne wzmianki: jego początki w cukiernictwie. Rzecz zaczyna się w duchu gatunku (musical, fantasy), czyli od piosenki. Dość lekka, pełna nadziei i gotowości, ukazuje marzenie bohatera i nastraja odpowiednio odbiorcę. To świetne wprowadzenie, zgrabnie kontynuowane kolejnymi utworami, adekwatnymi do rozwoju fabuły i umiejętnie podsycającymi uczucia widza. Towarzysząca im choreografia nieraz imponuje i sprawia, że na fotelu aż chce się zacząć podrygiwać. Wiele z piosenek zostaje na długo w głowie.

Tak, jak i fabuła. Pozytywna, bajkowa, nie jest pozbawiona trudności, kryzysów i wyzwań. Otwarty, nieco naiwny i nieumiejący czytać Wonka, przybywając do miasta z zamiarem podbicia swoimi wyrobami Galerii Smakoszy i otwarciem własnego sklepu, musi zmierzyć się z układami czekoladowego kartelu oraz oszustwami, naciągactwem czy drobnymi druczkami. To intrygujące pomysły, dodające historii barw, a odbiorcom wrażeń. Oferują też pole do bliższego poznania postaci oraz nawiązanie z nimi unikalnych relacji. Ogromne znaczenie ma tu również więź tytułowego bohatera z – uwaga – jego matką. A mówiąc o „Wonce” nie można nie wspomnieć o niezwyklej scenografii. Ta sprawia, że widz przenosi się w bajkowy świat i, przynajmniej to przed sobą, wzmaga apetyt. Oj będziecie mieli ochotę na słodycze.

I w końcu: obsada. Timothée Chalamet bardzo pozytywnie zaskakuje w głównej roli. Ekspresywny, czarujący, energetyczny i przekonujący, świetnie sprawuje funkcję wodzireja oraz „maszyny napędowej” fabuły. Jego gra, w tym gestem i mimiką, pasuje do historii, która została nam przedstawiona i do ukazanego w niej



Wytarty płaszcz, stary kapelusz i porywający optymizm. Tak Wonka wkracza w fabułę.

etapu życia Willy’ego. Równie wiarygodnie wypadają kreacje postaci, które w wyniku rozwoju zdarzeń fabularnych, stają się przyjaciółmi i sprzymierzeńcami Wonki: Nitka (Calah Lane), Abakus Całka (Jim Carter), Larry

„ Jak na film o magicznym cukierniku przystało, nie brakuje w nim wszelkiego rodzaju słodkich smaczków. Z tych aktorskich, warto wspomnieć jeszcze o przezabawnej kreacji przekupnego kapłana-hipokryty w wykonaniu Rowana Atkinsona.



Poprzednio w rolę Willy’ego Wonki wcielił się Johnny Depp

Śmiechwart (Rich Fulter), Porcelia Bęc (Natasha Rootwell) i Ludka Bell (Rakhee Thakrar). Dynamika między nimi przyciąga, razem tworzą grupę, której się kibicuje i którą chce się oglądać. Atrakcyjne dopełnienie stanowi też wątek Umpa-Lumpasa (Hugh Grant), jako pierwszej interakcji Willy’ego ze swoimi późniejszymi pracownikami – aż szkoda, że tak go tu mało! Niektórzy mogą poczuć niedosyt czy zdziwienie, choć z drugiej strony może być w tym metoda. W końcu lepsze jest zawsze to, co krótsze, a wypielegnowane, niż dłuższe a na siłę rozwleczone.

Jak na film o magicznym cukierniku przystało, nie brakuje w nim wszelkiego rodzaju słodkich smaczków. Z tych aktorskich, warto wspomnieć jeszcze o przezabawnej kreacji przekupnego kapłana-hipokryty w wykonaniu Rowana Atkinsona. Z tych konstrukcyjnych, dotyczących scenariusza produkcji – scenę po, a w sumie już w trakcie napisów, zakrawającą na najlepiej wprowadzoną i prowadzoną, jaką w życiu widziałem. Resztę odkryjcie sami, warto.

Jak już wspomniałem, Willy jest tu bardzo łagodny, rodzinny, otwarty na świat, nawet naiwny. W ciekawy sposób kontrastuje to ze starszymi dziełami, ukazującymi go na późniejszym etapie życia. Czy to z książkowym oryginałem „Charlie i Fabryka Czekolady” Roalda Dahla, czy w wersjach filmowych – ekstrawaganckim, groteskowym Wonką w kreacji Deepa, czy tym sarkastycznym i ekscentrycznym Gene Wildera. Śledząc losy protagonisty, widz z tyłu głowy siłą rzeczy zastanawia się, jak na Willy’ego Wonkę wpłynęły późniejsze wydarzenia – zdrada i szpiegowanie fabryki przez konkurencję. Myśli się o tym, co Wonka będzie wówczas czuł i jak bardzo się zmienił. Ale, o czym nie powinno się zapominać, są to oddzielne obrazy i odmienne interpretacje.

Najnowsza odsłona twórcy słodkości szybko odniosła niemalże sukces, zarówno finansowy, jak i odbiorczy, co widać w ocenach widzów oraz krytyków. Nie ma się co dziwić, „Wonka” w reżyserii Paula Kinga niejednokrotnie wzruszy was i rozbawi, bardzo możliwe, że do łez. Dodatkową i ważną zaletę stanowi też znakomity polski dubbing. – Aż człowiek chce się wznieść – cytując fragment jednej z piosenek. Bo to produkcja bardzo udana, klimatyczna oraz przemyślana, co widać, słysząc (dosłownie) i po prostu czuć. Na każdym kroku.

Marcin KLONOWSKI

Jak nie zmieniać futbolu

W ostatnich latach najważniejsze postacie zarządzające światową piłką wpadają na coraz to bardziej genialne pomysły (w ich mniemaniu), które mają zwiększyć atrakcyjność futbolu. Tymczasem przepełniony w wyniku ich decyzji kalendarz meczów przynosi skutki odwrotne od zamierzonych.

Dyskusja o tym, jak uatrakcyjnić futbol trwa już od kilku dobrych lat. Wynika to oczywiście z tego, że piłka nożna musi walczyć o uwagę młodych odbiorców np. ze światem mediów społecznościowych. Pomysłów na zwiększenie zainteresowania futbolem padło wiele. Jeden z nich jest już systematycznie wdrażany przez osoby pociągające za sznurki w tym sporcie. Mowa tu o zwiększeniu liczby meczów, poprzez np. modyfikację istniejących już rozgrywek.

Błędne założenie

Sposób rozumowania jest taki: więcej spotkań piłkarskich z udziałem najlepszych wygeneruje większe zainteresowanie. Stwierdzenie sensowności takiego pomysłu to już temat na inny artykuł. W tym tekście skupimy się na negatywnych aspektach takiego rozwiązania, bo faktem jest, że kalendarz rozgrywek futbolowych staje się coraz bardziej „zapchany”. Najpoważniejszym skutkiem tego zjawiska jest rosnące przeciążenie organizmów piłkarzy, co rzecz jasna zwiększa ryzyko złapania kontuzji. Oczywiście sama liczba meczów to niejedyna przyczyna takiego stanu rzeczy, gdyż na najwyższym poziomie intensywność gry jest już naprawdę duża. W dodatku sędziowie, zgodnie z nowymi wytycznymi, coraz bardziej skrupulatnie wyciągają



Takich obrazków w futbolu może być coraz więcej

„Rok 2021 był zwiastunem błyskawicznego staczenia się antologii. Dziesiąty sezon serialu, „Podwójny seans” początkowo budził nadzieję na jedną z lepszych odsłon serii.

wszystkie przerwy w grze, co wydłuża czas trwania spotkań. Wobec tego zasadne staje się pytanie: po co dokładać piłkarzom jeszcze więcej grania?

Nikt nie chce odpuszczać

Spójrzmy na aktualne liczby. Pod uwagę wziąłem europejskie ligi zaliczane do grona „TOP5” – angielską, francuską, hiszpańską, niemiecką i włoską. Maksymalna liczba meczów w sezonie dla drużyn z najwyższego poziomu rozgrywkowego w tych krajach oscyluje od 54 do ponad 60. Biorąc pod uwagę, że

wyżej wymienione ligi grają od sierpnia do maja, to drużyna, która zakwalifikowałaby się do finału krajowego pucharu, a także któregoś z trzech europejskich, musiałaby zmierzyć się z dawką średnio ponad pięciu spotkań w miesiącu. Jeszcze więcej gra się w Anglii, bo oprócz ligi i puchar kraju, jest też Puchar Ligi. Wciąż mowa „tylko” o rywalizacji klubowej. Istotnym elementem futbolowego świata są też przeciętne rozgrywki reprezentacyjne. Widać zatem, że dawka spotkań już bez dodatkowych modyfikacji jest naprawdę

duża i nawet przy dobrej woli władz futbolowych jej zredukowanie byłoby zadaniem wymagającym. Składają się bowiem na nią rozgrywki o mistrzostwo i puchar kraju, a także zmagania o europejskie trofea, czyli coś, z czego trudno byłoby zrezygnować. To samo dotyczy się turniejów reprezentacyjnych o prym na kontynencie lub na całym świecie.

Oczywiście częstotliwość oraz intensywność grania to niejedyne przyczyny kontuzji, bo te związane np. ze złamaniami są wynikiem sytuacji boiskowych. W każdym razie wciąż należy to traktować jako naczynia połączone. Naturalną rzeczą jest bowiem, że wszystkim klubom i piłkarzom zależy na osiągnięciu sukcesów. Przy dużym natłoku spotkań może to doprowadzić do

tęgo, że gracz, zamiast spokojnie przejść rekonwalescencję i w ten sposób minimalizować ryzyko kolejnego urazu, pod presją wyników szybciej wróci na boisko. Z takim problemem mogą się np. zmagać kluby angielskiej Premier League. Tylko w grudniu rozegrano w niej aż siedem kolejek. Korzystając z danych dostępnych na stronie internetowej Premier Injuries, poświęconej absencjom zawodników w wyżej wymienionej lidze, można policzyć, że na dzień 4 stycznia w każdym zespole niedostępnych do gry ze względu na problemy zdrowotne jest średnio 5,5 zawodnika. W przypadku kilku klubów te wartości sięgają wręcz liczb dwucyfrowych.

Za dużo kombinowania

Organizacje zarządzające rozgrywkami piłkarskimi powinny więc w pierwszej kolejności wypracować rozwiązania, które zmniejszą obciążenie zawodników. Tymczasem obserwujemy zupełnie odwrotny trend. W Mistrzostwach Europy od 2016 roku grają już 24 zespoły, a nie 16, a na następnych Mistrzostwach Świata liczba uczestników wzrosła z 32 do 48. Kolejne zmiany to wprowadzenie Ligi Narodów, czyli zastąpienie towarzyskich meczów reprezentacyjnych w Europie rywalizacją o kolejne trofea, które nigdy nie będą generować takich emocji jak Euro. Modyfikacje nie ominą też europejskich pucharów — Ligi Mistrzów, Ligi Europy oraz Ligi Konferencji Europy. Od sezonu 2024/2025 w tych rozgrywkach będzie rywalizowało po 36 zespołów (wcześniej 32). W Lidze Mistrzów i Lidze Europy będzie skutkowało to tym, że w fazie grupowej każdy zespół rozegra o dwa mecze więcej niż w poprzedniej formule. Najbardziej absurdalne zmiany dotyczą Klubowych Mistrzostw Świata, w których ostatniej edycji brało udział osiem zespołów. Natomiast w 2025 roku w ramach tych rozgrywek ma się odbyć turniej z udziałem 32 drużyn! Potrwa on od 15 czerwca do 13 lipca, czyli w czasie, który europejskie kluby poświęcają na przerwę między sezonami.

Do podsumowania wspomnianych zmian w piłce nożnej można posłużyć się dość wyświechtanym, ale w tej sytuacji jak najbardziej adekwatnym wyrażeniem — liczy się nie ilość, ale jakość. Regularne zwiększanie liczby spotkań może bowiem zaszkodzić atrakcyjności piłki nożnej, gdyż im bardziej piłkarze będą przeciążeni, tym trudniej będzie im grać na optymalnym poziomie, a właśnie to w pierwszej kolejności wpływa na zainteresowanie kibiców.



Kalendarz piłkarskich spotkań jest z roku na rok coraz bardziej przeładowany

Kibice futbolu reprezentacyjnego na Starym Kontynencie wyczekują finałów Euro 2024. Niemiecki turniej to nie jedyna rozgrywana w tym roku kalendarzowym impreza piłkarska. Latem odbędzie się również kolejna edycja Copa America. Z kolei afrykańscy i azjatyccy fani piłki nożnej już w styczniu będą mogli emocjonować się losom swoich reprezentacji.

Zarówno Puchar Azji, jak i Puchar Narodów Afryki, odbywają się w trakcie trwania sezonu 2023/24. Liczne grono piłkarzy opuszcza szeregi drużyn klubowych. Ich interes rozmięga się z interesem reprezentacji narodowych. Specyficzne warunki klimatyczne państw-gospodarzy wpływają na wybór terminu, w którym można rozegrać kontynentalne zmagania.

Mistrzostwa w kolorze kości słoniowej

Wybrzeże Kości Słoniowej otrzymało status gospodarza trzydziestego czwartego turnieju o tytuł najlepszej reprezentacji kontynentu. Pierwotnie Puchar Narodów Afryki planowano rozegrać w 2023 roku. Włodarze Afrykańskiej Konfederacji Piłkarskiej (CAF) postanowili przenieść rozgrywki na styczeń i luty 2024 r. Powodem tej zmiany była pora deszczowa charakterystyczna dla państw okołorównikowych. W trakcie trwania turnieju zostaną rozegrane pięćdziesiąt dwa mecze. Status gospodarzy uzyskało pięć miast: Abidżan, Jamusukro, Bouake, Korhogo oraz San Pedro. Stolicę kraju, Abidżan, będą reprezentowały dwie areny. Mecz otwarcia i finał turnieju odbędą się na mogącym pomieścić 60 000 widzów Stade National de la Cote d'Ivoire. Druga stołeczna arena to Stade Felix Houphouët-Boigny. Pojemność stadionu wynosi 55 000.

W dniu 13 stycznia gospodarze zainaugurowali zmagania meczem z Gwineą Bissau. Kibice popularnych Słoni liczyli na powtórkę z 2015 roku. Dziewięć lat temu reprezentacja Wybrzeża Kości



Piłkarz w momencie wykonywania rzutu różnego

Organizacja Pucharu Azji 2023 przypadła Katarowi. Swoją kandydaturę zgłosiły również: Australia, Indonezja oraz Korea Południowa. Gospodarz ostatnich mistrzostw świata ugości dwadzieścia trzy narodowe reprezentacje, które przebrnęły przez azjatyckie eliminacje. Zrobi to trzeci raz w historii. Dwie poprzednie edycje Pucharu Azji rozgrywanego w Katarze przypadły na lata 1988 i 2011.

Słoniowej zdobyła swój ostatni tytuł. Tym samym powtórzyła wynik z 1992 roku. Forma następców Didiera Drogi i Yaya Toure pozostaje zagadką. Dwa ostatnie mundialy odbyły się bez ich udziału. Za wyniki kadry odpowiada Jean-Louis Gasset. Francuski szkolenowiec stoi przed nie lada wyzwaniem. Wśród powołanych na turniej znaleźli się m.in. Sebastian Haller, Seko Fofana, Franck Kessie i Odilon Kossonou. Grupę A współtworzą także Nigeria oraz Gwinea Równikowa. Wśród potencjalnych gwiazd imprezy wymieniana jest zawodniczka Afryki 2023 oraz mistrza Italii w barwach SSC Napoli – Victora Osimhena. Wraz z rewelacyjnym Victorem Bonifacem z Bayeru Leverkusen stworzą groźny duet w nigeryjskim ataku.

Tytułu broni reprezentacja Senegalu. W meczu finałowym Pucharu Narodów Afryki 2022 pokonali Egipcjan. Regulaminowy czas gry

i dogrywka nie przyniosły rozstrzygnięcia. Po 120 minutach finału nie padła żadna bramka. W rzutach karnych Senegal wygrał 4:2. Senegalczyki zmierzają się w Grupie C z Gamią, Kamerunem i Gwineą. Egipcjan ominęły ostatnie Mistrzostwa Świata, ale wciąż należą do ścisłej kontynentalnej czołówki. Faraonowie najczęściej w historii triumfowali w mistrzostwach Afryki. Do tej pory siedmiokrotnie nie mieli sobie równych podczas mistrzowskich turniejów. Od początku sezonu w doskonałej formie pozostaje największa gwiazda Egipcjan – Mohamed Salah z Liverpool FC. Meczem z Mozambikiem rozpoczną rywalizację o prymat w Grupie B. W drugim meczu tej grupy Ghana zagra z Republiką Zielonego Przylądka.

Grupa D to rywalizacja Algierii, Burkina Faso, Mauretanii i Angoli. Riyad Mahrez i spółka próbują

naawiązać do Pucharu Narodów Afryki 2021. Podczas turnieju rozgrywanego w Egipcie reprezentacja Algierii nie miała sobie równych. W Grupie E rozstawionej Tunezji los przydzielił reprezentację: Mali, Południowej Afryki i Namibii. Dzięki osiągnięciu poziomu półfinałów poprzednich mistrzostw świata, Maroko okrzyknięto rewelacją katarskiego turnieju. Podopieczni Walida Regragui liczą na podtrzymanie dobrej passy. W fazie grupowej zmierzą się z drużynami Demokratycznej Republiki Konga, Zambii oraz Tanzanii. Marokańczycy uchodzą za jednego głównych faworytów imprezy.

Puchar Azji – Katar ponownie w roli gospodarza

Organizacja Pucharu Azji 2023 przypadła Katarowi. Swoją kandydaturę zgłosiły również: Australia, Indonezja oraz Korea Południowa. Gospodarz ostatnich mistrzostw świata ugości dwadzieścia trzy narodowe reprezentacje, które przebrnęły przez azjatyckie eliminacje. Zrobi to trzeci raz w historii. Dwie poprzednie edycje Pucharu Azji rozgrywanego w Katarze przypadły na lata 1988 i 2011. Impreza faktycznie zostanie rozegrana na początku 2024 r. W dniu 12 stycznia o godzinie 17:00 czasu środkowoeuropejskiego na Lusail Stadium wybrzmi pierwszy gwizdek

sedziego. To właśnie na nim reprezentację Argentyny i Francji zmierzyły się w finale Mundialu 2022. Zarazem jest to największy stadion piłkarski emiratu Kataru. W Dausze znajduje się aż pięć obiektów sportowych, na których odbędą się mecze Pucharu Azji 2023. W roli miast-gospodarzy turnieju wystąpią również: Lusajl, Ar-Rajjan, Al-Wakra, oraz Al-Chaur. Katarscy kibice liczą, że mistrzostwa kontynentu okażą się dla nich bardziej udane aniżeli ostatni mundial. Katar przegrał wszystkie spotkania i odpadł po fazie grupowej. W trakcie trwania turnieju miejscowi piłkarze zdobyli wyłącznie jedną bramkę.

Katar na swojej ziemi stanie przed arcytrudnym wyzwaniem – obronić tytuł Mistrza Azji. W finale poprzedniej edycji pokonali Japończyków (3:1). Pierwszym testem dla podopiecznych Tintina Marqueza będzie starcie z reprezentacją Libanu. Do Grupy A doszły także Chiny i debutanta z Azji Środkowej - Tadżykistan. Grupę B współtworzą reprezentacje Australii, Uzbekistanu, Syrii oraz Indii. W Grupie C o punkty rywalizować będą drużyny Iranu, Zjednoczonych Emiratów Arabskich, Palestyny oraz Hongkongu. Japonia powalczy o awans z Wietnamem, Indonezją i Irakiem. Reprezentacja Korei Południowej zamierza wyruszyć w pierwszy od 1960 r. tytuł najlepszej drużyny Azji. Przygodę z katarskim turniejem rozpocznie od zmagania z Bahrajem, Malezją i Jordanią. Stawkę uzupełniają przedstawiciele Grupy F, czyli Arabia Saudyjska, Oman, Kirgistan oraz Tajlandia.

10 lutego zostanie rozegrany finał turnieju. Dwie najlepsze drużyny zmierzą się na Lusail Stadium. W dotychczasowych zmaganiach o mistrzostwo Azji najczęściej na najwyższym stopniu podium stawali Niebiescy Samurajowie. Przedstawiciele Japonii czterokrotnie w historii sięgali po końcowy triumf. Ostatni raz w 2011 roku. Na papierze Japończycy posiadają najsilniejszą kadrę. Zajmują również najwyższe miejsce spośród azjatyckich reprezentacji w rankingu FIFA (17). Większość piłkarzy powołanych przez selekcjonera Hajime Moriyasu reprezentują barwy europejskich klubów..

Łukasz KAWA

Forum wymiany myśli studentów WNPID

Fenestra



Wydawca: Wydział Nauk Politycznych i Dziennikarstwa UAM, ul. Umultowska 89a, 61-614 Poznań.

Redakcja: Wydział Nauk Politycznych i Dziennikarstwa, Uniwersytetu Poznańskiego 5, pokój 144, 61-614 Poznań

email: fenestra.uam@gmail.com, facebook: www.facebook.com/gazeta.fenestra

ISSN 2658-2023

Redaktor naczelny:

Kacper Zieleniak

Zastępczyni redaktora naczelnego:

Daria Sienkiewicz

Redaktorka działu polityki i społeczeństwa:

Karolina Szymgin

Redaktor działu sport:

Kacper Bagrowski

Redaktorka działu kultura/Szefowa działu foto:

Daria Sienkiewicz

Sekretarzynie redakcji:

Oliwia Górska

Koordinator ds. warsztatów:

Remigiusz Różański

Korekta:

Hanna Jaskuła

Kasia Chojnowska

Martyna Kościelska

Oliwia Syrek

Redakcja:

Adam Bratka

Agata Taszarek

Aleksander Rajewski

Daniel Mironczyk-Leśniak

Dominika Marciniak

Filip Stachowicz

Izabela Sulowska

Jagoda Nowak

Julia Jurek

Julia Remisz

Kacper Pocztarski

Karolina Szymgin

Łukasz Kawa

Marcelina Górska

Martyna Kościelska

Marta Nehring

Monika Lisiak

Olimpia Oliik

Oliwia Górska

Oliwia Maziopa

Oskar Kmak

Paulina Bączek

Paulina Juzak

Paweł Maksimczyk

Paweł Wesoły

Piotr Rydz

Roksana Michalska

Zuzanna Górna

Zuzanna Grzegorzewska

Zuzanna Zaremba

Opiekunka redakcji:

Aleksandra Konieczna

Skład

Tomasz Szukała

Strona internetowa

www.gazetafenestra.pl

Facebook

www.facebook.com/gazeta.fenestra

Instagram

gazetafenestra

Twitter

/twitter.com/FenestraGazeta

Druk

Drukarnia w Bydgoszczy

ul. Grunwaldzka 229

85-438 Bydgoszcz

Redakcja zastrzega sobie

prawo do redagowania

i skracania nadesłanych

tekstów.